



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 0.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

NA WERENDZIE.

(POGAWĘDKA).

Dwa razy się przenieść, to jedno, coby raz się spalić — powiadają. Przy dzisiejszych jednak wygodach przeprowadzki, tak rozpaczliwe zdanie choć odrobinę zmienić się powinno. Wygodne wozy, nota bene, kryte, ochraniają rzeczy przenoszone od uszkodzenia ich podczas wilgoci lub deszczu, dodać jeszcze potrzeba, że wozy te są na resorach i tak wielkie, iż nieraz umebłowanie całkowite z paru pokoi doskonale w nich się pomieścić może, podłużne zaś i poprzeczne ściany wozu chronią, w razie szybkiego przechylenia się wehikułu, od wysunięcia się i upadku danego przedmiotu, przynoszący się więc jest zabezpieczeniu od możebnej a często króć dotkliwej szkody. Dawny sposób ładowania na fury ile tylko da na nią się zmieścić narażał nieraz właściciela przenoszonych rzeczy na ciężkie straty, bo roztrzaskany sprzęt czasami jeden, wartością swoją przynosił dwukrotnie koszta niefortunnej przeprowadzki.

Pomimo jednak tych udogodnień, tego spokoju, z jakim danej firmie powierzamy dobro swoje, dni Św. Jana i Św. Michała zaliczyłbym bez przesady do dni feralnych. Szczęśliwi, którzy przenoszą się do niezajętych mieszkań, niewypędzani gwałtem przez innych przybyszów, nie odczuwają feralności dni owych — ci jednak którzy w dniu 8-mym, lipca lub w takiejże dacie dnia października, mają na karku nowoprzybywających lokatorów i nolens volens, sami muszą bliżnim swoim na kark wsiadać — długo w pamięć

ci swojej ten krzyż pański zatrzymają, i — jeżeli dawnej nie powtórzą sentencji, to z zupełną słusnością powiedzieć mogą: tak się przenieść, to jedno, coby powstać z łoża choroby ciężkiej.

W dniach tych fatalnych, jakby na dane z góry hasło, o godzinie ósmej z rana zaczyna się ogólna rujnacja mieszkań. Mniejsza, czyś zdołał przeżegnać się po bożemu, czyż choć szklanką herbaty posilił się: loskot i gwar na schodach, później gwałtowne a bezceremonialne szarpnięcie za dzwonek — oznajmują ci przybycie nowego mieszkańca wraz z jego Larami i Penatami. Wiedząc jednak, boś już praktyk, że wizyta podobna jest nieuniknionym wypadkiem, stosując się zresztą do ogólnie przyjętego zwyczaju — sam się jak najwcześniej i jak najszybciej wynosisz, dla uniknięcia rwetu i pomieszania rzeczy obcych z twojemi własnymi — i tu następuje pierwsze spotkanie się dwóch nieprzyjacielskich obozów, spotkanie się na schodach: kufra z kufrem, fortepianu z fortepianem, a co najstraszniejsze — gospodyni z gospodynią.

Najprzyzwoitsi ludzie w tej chwili zapominają o najelementarniejszych zasadach grzeczności. Lokator wnoszący się, czując się już panem na zajmowanych przez siebie śmieciach, jest zazwyczaj stroną atakującą, lokator ustępujący, z natury rzeczy, musi bierniej zachowywać się, bo — podczas, gdy pierwszy na gwałt się wnosi, ostatni na gwałt ustępuje.

Po pierwszym starciu się, hałasie i zgrzytach, przenoszonych mebli, zgrzytach wzbudzających pewien niepokój, oddychasz niby swobodniej, ale tak nerwowo podniecony jesteś, taką żądzą okrutną pałasz spoczynku, żeś zaledwie wstąpisz na schody, prowadzące do nowego twojego mieszkania, zapominasz wnet sam o najelementarniejszych zasadach przyzwoitości, których brak, przed chwilą przeciwnikowi twojemu zarzuciałeś — i z działań odpornych do zaczeptych przechodzisz, tak, że mieszkańcy kamienicy ca-

łej widzą, że to ty się wnosisz, że to ty jesteś panem pozycyji, podczas, gdy twój wróg mimowolnie jak najspieszniej opuszcza progi komnat, dotychczas przez siebie zajmowanych.

Po kilkakrotnych takich utarczkach, i po kilkakrotnych przejściach ze stanu biernego do czynnego — nareszcie jesteś u siebie i już naprawdę oddychasz pełnią swobody. Ale coś przeniosł, coś przecierpiał — ten tylko wie, kto sam doświadczył rozkoszy przeprowadzki Warszawskiej.

Tysiąc dolegliwości nas trapi, tysiąc molów gryzie — ale z tem wszystkiem radę jakos sobie dajemy. Wszelkiego powodzenia życzyliśmy panom kamiecnikom za stałe wysrubowywanie przez nich cen lokalów — ostatecznie ze środków przemieścił się na dalsze ulice, znaleźli się nawet tacy (o czem nas powiadają wszechwiedzące kurjerki), którzy woleli na zimę na letnich mieszkaniach pozostać niż połowę zarobku rąk swoich przelać do kieszeni właścicieli domów o sercach kamiennych. Strwożyła nas podnosząca się cena węgla, a mówiąc nas, mam na myśli tych tylko, którzy nie obfitują w mamonę, i zaledwie mają potrzeby dnia dzisiejszego zabezpieczone — bo dzieciom fortuny nieprzeszkodziłoby nic w zaopatrzenie się w węgiel przed tem cen podskoczeniem. Ale co zrobiłyby szaraczki podczas mrozów? Zapewne, że mogłyby dzwonić zębami — ale że niemila jest perspektywa muzyki podobnej, więc — strach biedaków ogarnął. Oto pan prezydent miasta Warszawy, pragnąc, aby uboższa ludność miasta była zabezpieczona od braku i drożyny węgla, polecił przedsięwziąć środki zaradcze. W szczegóły wdawać się nie będziemy, dość tylko nam wiedzieć, że sprawa węglowa w pomyślny sposób załatwioną zostanie, a jeżeli z pomocą biedaków i zima łagodna przyjdzie, przejdzie jakoś i utrapiona pora roku bez żadnego zgrzytania zębów.

Jak widzimy więc, załatwiliśmy się z dwoma nieszczęściami wagi nie małej: drożyzną mieszkań i z wzrostem cen węglowych. Kamieniem filozoficznym pozostaje jeno—utrapienia przeprowadzki. Myśleli już nad tem umysły poważne, ale nie nie wymyślały, myślał znać o tem i Kasperek Gapa, stróż domu, w którym mieszkałem lat dzie sięć z okładem—bo, parę dni temu, gdy westchnął ciężko, zwracając się do niego ze słowami:

— Wyprowadzam się!

Gapa potargał siwiejącego węża i w ten sens rzekł do mnie...

— Wzdycha pan, że się wyprowadza, wzdycha drugi, że się wprowadza, a to pono dla tego, że jeden drugiemu na łeb lezie, przy czem straszny rozgardzajasz panuje. A czy nie mogliby to państwo zrobić tak, przez „Kurjerki“—bo nie się tera bez nich na świecie nie dzieje, one nawet na Listopad i *Kumetę* jakąś sprowadzają, która ma pocałować ziemię—przez „Kurjerki“ zatem niechby się państwo umówili z sobą, nie o dzień, bo już nikt Św. Jana i Michała nie za pomni, ale o godziny przeprowadzki. Od godziny 6 ej do 1-jej po południu niech się wszyscy państwo *wyprowadzają*, a od 1-jej niech się wszyscy państwo sprowadzają.—A co? skończył z dumą..

— Masz ra...

Ale niedokończyłem zdania, rozpoczętego z uśmiechem na ustach, nie chcąc, by prastare nazwisko Gapów, w jakikolwiekby sposób do mnie przylgnęło. Bo proszę pana, panie Kacprze, czy przenoszący się od godziny 6 do 1—nie zapelnialiby mieszkania nieoprózniczonego jeszcze? czy w ten dopiero sposób literalnie jeden drugiemu na kark by nie wlaził?

Ale Gapa argumentem moim nie został wcale pobity...

— Dobrze zupełnie być nie może na świecie—zaczął filozoficznie—Ale dobrze jak z większej niewygody mniejszą się robi.—A oto tak: wszyscy *wyprowadzający* się, niech w jednym lub w dwóch pokojach zgromadzą swoje rzeczy, zostawiając choć jeden pokój dla *wprowadzających* się. A co? —

— Kiedy widzisz, panie Gapo, że wszyscy jednocześnie są wprowadzającymi się i wyprowadzającymi?

— Nic to —

Byłem ciekawy odpowiedzi.

— Czy pan się wprowadza do wszystkich warszawskich lokalów czy tylko do jednego?

Zbytecznie byłoby tu mówić jaką dałem od powiedz.

— Zatem pan,—ciągnął Gapa,—umówisz się z tym, który mieszkanie pańskie ma zająć, że, np. pan (albo on) od 6 do 1 będzie rzeczy swoje przenosił i składał do jednego albo dwóch opróżnionych przez niego (lub pana) pokojów. Gdy pan się w ten sposób wniesie, tamten się zacznie dopiero wynosić i będzie cicho i spokojnie. A co?

Rozżółłem myśl Gapy—i kto wie czy kamień filozoficzny przeprowadzki warszawskiej, choć w części nie byłby wynaleziony. Potrzeba tylko, ażeby ogólna nastąpiła zgoda na receptę pana Kacpra, ażeby A, mający zająć mieszkanie B z nim się naprzód umówił, B to samo z C zrobił, C z D i tak dalej. Manipulacja podobna na pozor tylko zdaje się być trudną, ale w gruncie rzeczy do przeprowadzenia możebna i w ten sposób, kto wie—czy węzeł gordyjski rozcięty by nie został?

Ale inne jeszcze są węzły, stokroć ważniejsze, które rozciąć można i potrzeba, tymczasem zaciskają się wciąż bardziej a zaciskają się w duszącą nas pętlę.

Panowie Niemcy ani na chwilę nie zatrzymują się na raz obranej drodze w stosunku do nas. Kochają nas tak, że z rozkoszą by nas w swym uścisku zdusili. Wypędzanie z granic ich państwa obcopoddanych pochodzenia polskiego jest na porządku dziennym; wtrącanie się policji do stosunków rodzinnych, zabranianie, naprzykład bratu lub siostrze wykładu języka polskiego młodszemu rodzeństwu—to już są rzeczy tak oburzające, że brak słów na napiętnowanie czy-

nów podobnych. Szeroko o tem piszą dzienniki nasze, podobnemi ekscesami łamy ich są spełnione, zda się, że w gołębiu żółoby się wzburzyła—ale my chyba i tej odrobiny już żółci nie mamy, albowiem...

„Brawo! brawo! panowie łyżwiarze...“

Takiem oklaskiem ironii i goryczy zaczął „Kuryer Codzienny“ artykuł swój „Z chwili.“

„Tak musi zawołać każdy po przeczytaniu wiadomości o uczczeniu zasług p. Winderszteina“—ciągnął dalej.

Kto to jest ten p. Windersztejn? zapyta czytelnik, mieszkający na prowincyi, o którego uszy, nie dziwilibyśmy się, gdyby po raz pierwszy obito się nazwisko tego pana. Kto on? jakie jego są zasługi, i w jaki sposób za nie hołd mu złożony został?

Pan Windersztejn jest to sobie pan taki, który z Niemiec przyjechał i z orkiestrą swoją osiadł w Dolinie Szwajcarskiej, zabawiając przez lato warszawiaków i... „te panie“ które utworzyły sobie stałe siedlisko w tej Dolinie. Pan Windersztejn grał wraz ze swoją pruską orkiestrą, grał przeważnie rzeczy kompozytorów niemieckich, głuchy będąc na zwracanie mu kilkakrotnie uwagi, że mało uwzględnia rzeczy swojskie, — grał — i cóż jeszcze?... grał i brał pieniądze... Cóż można więcej chcieć od pana Winderszteina?

Nie wiemy tedy co tak rozczuliło panów łyżwiarzy, czy gra jego, czy to branie pieniędzy, doś, że gdy opuszczał Dolinę, z nabitą kabzą do swojego Vaterlandu się wynosząc, zebranie ślizgających się postanowiło go uczcić *wręczeniem mu wspaniałego puharu*. I wręczyli!—Z napisem ku uwiecznieniu... Dośpiewajcie szanowni słuchacze w swej duszy, na uwiecznienie czego. A tak niedawno, jak rozpaleni ogniem słomianym wypędzili pana Majdera, jako Niemca—ba! wiele rzeczy działo się inaczej—niedawno... Ale szal! to polityka—powiedział mi jeden ze ślizgawców. Pan Windersztejn będzie nasze sprawy między Niemcami popierał.

Mój Boże! wieleśmy to już.. głupstw dla tej polityki zrobili. Boruta w „Zaczarowanym kole“ coś mówił o „dziurawym honorze“. Ba! dyabeł łączyłki to lis stary, nie z jednego pieca chleb jadł, ale to jakoś przykro coś podobnego z ust dyabła posłyszeć... brrr!

W ostatnich dniach zaniepokoiła nas wiadomość o zdrowiu Piotra Chmielowskiego, ale pocieszył nas list, pisany przez niego do redaktora „Kuryera Codziennego“ że powoli do zdrowia powraca, że wkrótce przeszłe przeglądy krytyczne z utworów beletrystycznych do tegoż pisma. Na szczęście i pogoda w Zakopanem, gdzie wielki pisarz przebywa, ustaliła się, a dni są tak ciepłe, że lato mogłoby jesieni pozazdrościć.

I my, mieszkańcy Warszawy, mamy nieplonną nadzieję, że „Złota jesień“ nie poskąpi nam czarów. Wynagrodzić sobie musimy dżdżyste dni minionego lata, nie prędko jeszcze opuścimy werendę naszą i wzrok na ognisko kominka zwrócimy.

Do wypadków chwili bieżącej możemy zaliczyć: przedstawienie w Teatrze letnim „Zaczarowanego koła“ p. Lucjana Rydla i — artykuły o wychowaniu, drukowane w ostatnich trzech numerach „Gazety Polskiej“, pióra „Niepowołanego pedagoga“. O tych dwóch wypadkach pomówimy potrosze, bo jak dzieło konkursowe p. Rydla tak i kilka słów „Niepowołanego pedagoga“ nie małe „szurum-burum“ na bruku warszawskim zrobiły.

Zacniemy od „Zaczarowanego koła“.

Jeżeliśmy zebrałi wszystkie recenzje i sprawozdania krytyczne o dramacie p. Rydla—znaczną większość sprawozdawców odezwała się nieprzychylnie o tym utworze, ci nawet, którzy znani są ze swojej pobłażliwości (i słusznie) dla prac nowowystępującego na szerszą arenę pisarza — ci nawet, powtarzamy, osłodziłi pigułkę, niechcąc zbyt ostro sądzić, bądź co bądź, utalentowanego poe. Z przeczoczystych osłon jednak jak i z rozmów poufnych, znać pewnie niezadowolnienie z tak często powtarzających się u nas konkursów i ich wyników. I rzeczywi-

ście! znachodzili się mecenasi, niezałujący grosza na poparcie sztuki swojskiej; grono pracujących i spracowanych literatów poświęcało swój czas na odczytanie ogromnego balastu utworów nierównomiernej wartości—i zawsze z tych sądów konkursowych wypadł jakiś plód poroniony i pozostawił niesmak w publiczności, czekającej arcydzieła. Ale jak wiadomo na arcydzieło lata czekać trzeba, a pewniejszem jest jeszcze, że arcydzieła nie przychodzą na zawołanie, że krociowe nagrody nawet nie stworzą talentów, gdy ich nietylko w danej chwili, ale w danej epoce niema. Ale konkursy na dzieło sztuki mają swoją rację bytu. Wiele znajduje się pisarzy, którzy w swej tece mają prac trochę większej lub mniejszej wartości; w te prace włożyli trochę trudu, trochę marzeń, lez nawet trochę—ale, z powodu nieprzychylnych warunków, nie mogą ich światu pokazać. Te trudności spotykają tylko utwory dramatyczne. Wejście na deski teatralne, autorowi bez firmy (i z firmą nawet) jest dość utrudnione; wydać je drukiem,—(jeżeli samemu na wydanie grosza się nie ma) to należy do marzeń zbyt śmiałych; wszystkie zaś pisma peryodyczne, szczególnie dzienniki i tygodniki, jak od złego ducha tak odżegnywują się od drukowania utworów dramatycznych na łamach swoich.

Dla czego? Tego pytania nie będziemy w tej chwili roztrząsałi, powiemy tylko, że odżegnywanie się to jest nieuzasadnione i wielką szkodę literaturze naszej przynosi. Mamy tylko trzy pisma, które kiedy niekiedy dramat jaki wydrukują: niemi są „Ateneum“, „Biblioteka Warszawska“ i — „Bluszcz.“ Ale ta trójca nie może tylko dramat jeden uwzględnić—są inne działy potrzebujące zapewnienia, a zresztą najpierwsze miejsce pozostawia się najpoczyńniejszej zawsze—powieści.

Konkursy nie tworzą talentów, ale *dają możliwość, nieznaną jeszcze, i niemających sposobów dać się poznać autorom, wypłynąć na widownię i lody pierwsze przełamać. Dać tę możliwość jest celem ofiarodawców, nie wyklucza to wypadku pojawienia się i wybitnego dzieła—a że dotąd konkursy chybiły tak pojmovanego celu—nie ich to już jest winą. Ale sędziowi konkursowi nie szukają Hamletów i Balladyn—zadowolenie są z pracy swojej i podjętego trudu, jeżeli mogli uwieńczyć rzecz *względnie* dobrą lub *nie złą* i w ten sposób zachęcić laureata do dalszej pracy. Tak rozumiejąc rzecz—konkursy mają rację bytu, i ostatni, imienia Paderewskiego sumiennie spełnił swoje zadanie.*

Dzieło Rydla pisane jest pięknym i czystym językiem—a o tę czystość językową *przeważnie* ofiarodawcy chodziło. Co zaś do samej fabuły i budowy dramatu, może być fabuła i budowa marna — lecz te braki widoczne są tylko znawcom literatury—tłum bawi się, napełnia teatr, a wolę widzieć na scenie naszej rzecz, nawet słabą, początkującego naszego autora, niż, równej wartości, utwory pisarzy zagranicznych. Powodzenie „Zaczarowanego koła“ cieszyć nas tylko może. Teatr warszawski z uprzedzeniem pewnem patrzył na siły swojskie, dziś może to przekonanie zmieni—co tylko za dobre sztuce naszej wyjść może.

Teraz słów parę o artykułach wychowawczych „Niepowołanego pedagoga“.

Dziwny to „Pedagog“. Z wychowania młodzieży chce usunąć najgłówniejszą podstawę etyczną, zawartą w słowach: „Kochaj bliźniego swego jak siebie samego.“ Idealne pojęcie miłości zawady mu jest w wychowaniu organizmów silnych i zdrowych. Gniewa się na czułość pokolenia naszego, niepozwalającą wydobyc z siebie koniecznego zapasu energii, i zmuszającą wciąż do abdykacji, nieraz z praw nawet przynależnych. Nierozczuła go wcale gołębia natura ludzi dzisiejszych i synagorlicze gruchanie tam, gdzie sępicz szponów i wilczych kłów potrzeba. Robi więc zarzut ojcom i matkom za mązgajowate wychowanie synów — chciałby buldogów z nich zrobić, umięających kasać, gryźć, szarpać i w ten istic zwierzęcy sposób przebijając się przez świat i sobie stanowisko w nim zdobywać. Życie to

twardy orzech do zgryzienia—do tego potrzeba mieć ostre i silne zęby. Słowem, autor artykułów, dotyczących się wychowania, zgadza się z tym, aczkolwiek przez niego nieprzytoczonym wierszem:

Dziś na świecie ludzi niema.
Jeno wilki i barany:
Kto się boi zjeść bliźniego
To ten bywa sam zjadany.

Feljetony „Niepowołanego pedagoga“ narobiły niemało wrzawy pomiędzy czytającą publicznością.

Dla czego?

Bo postawił kwestyę na ostrzu noża, obniżył ideały etyczne i—posługiwał się często niewłaściwą argumentacją, zachwycając się, np. malcami widzianymi w kolonii, jak sobie wybijali zęby i policzki darli z całą zawziętością ulicznych awanturników. Ten przykład „teżyzny“ jest oczywiście za blahy. Podobne walki i nad brzegami Wisły odbywają się — ale im wcale przyklasnąć nie możemy.

Pomimo jednak wielu niekonsekwencji w dowodzeniach „Pedagoga“ że u nas brak hartu i męskiej energii; pomimo dawania za rezykownych rad pedagogicznych wychowawcom dzisiejszego pokolenia—jest jednak w tem wszystkim duża doza słuszności. Powiemy nawet więcej — artykuły „Niepowołanego Pedagoga“ byłyby zrozumialsze i nie raziłyby nas tak bardzo; gdyby były z całą swobodą wypowiedziane. Coś autora ścieśniało w wypowiedzeniu wszystkiego, mimo to snuje się nic wązka tych myśli niedopowiedzianych, tych zdań, z konieczności, urwanych. Przejść do porządku dziennego ponad temi artykułami nie radziłbym. Przeciwnie radziłbym wiele zdań wypowiedzianych odrzucić, a zastanowić się głęboko nad temi, które dla pewnych przyczyn czy z powodu pewnych przyczyn zostały—niewypowiedziane.

??

NOKTURN.

Pod gwiazdami zawieszona,
Gdzie dróg mlecznych szlak niepewny,
Tuląc ręce swe do łona
Błądzi tęskna tajemnica:
Niedośniony sen królowny,
Ukochanej królowica.

Tylko bajka zna te dzieje
I różane one szlaki,
Z których dotąd czar jej wieje
Wonią ambry i haszyszy
I zna pieśń jej; drugiej takiej
Pewnie świat już nie usłyszy.

Cheesz? Opowie ci staruszka
Tej historii przebieg rzewny.
Nastaw tylko nocą uszka
A nadpłynie tajemnica:
Niedośniony sen królowny,
Ukochanej królowica.

Przyjdzie, przyjdzie—spójrzy w oczy
I do serca cię przyciśnie;
Ramionami cię otoczy
I ustami na twe usta
Rzuci się, by ptak na wiśnię,
Pożądaniem pieścnot pusta.

I choć rankiem z twego łona

Nagle spędzi ją świt gniewny,
Wiecznie odtąd, utajona,
Będzie w tobie lkać tęsknica
Niedośnionym snem królowny
Ukochanej królowica.

St. Rossowski.

OLA.

Jeszcze przed trzema dniami biegła po pokojach, podobna do ptaszyny wesolej. Wieczorem ni z tą ni z ową poczęła marudzić. Usnęła wcześniej, ale spała niespokojnie; budziła się w ciągu nocy kilkakrotnie z okrzykiem przestachu. Kilka razy zakaszła. Główkę miała gorącą.

Rano przybył wezwany lekarz. Zastał Olę senną, apatyczną. Na piersiach zobaczył zaczerwienioną skórę i liczne wypukłe punkciki. Błona śluzowa krtani i przelyku miała ciemnoczerwoną barwę. Termometr włożony w paszkę wskazywał 39.02.

— Szkarlatyna! orzekł doktor i wydał stosowną instrukcyę.

— Jak pan konsyliarz sądzi, czy stan groźny?—pytali zaniepokojeni rodzice.

— Hm! W tej chwili nie. Któż jednak przewidzieć może co nastąpi? Jestto najkapsprysniejsza z chorób. Zajrzę wieczorem.

Ola przez cały dzień drzemała, szybko oddychając i chwilami tylko otwierając oczy, błędne jakieś, jakby ze szkła. Nic nie mówiła, niczego nie żądała; lekarstwem i mlekiem zakrapiać ją trzeba było przemocą.

Wieczorem lekarz obejrzawszy małą pacjentkę, pokiwał głową.

— Może państwo wezwiecie jeszcze kogo?

— Więc tak źle?

— Niedobrze.

W pół godziny odbyło się konsylium. Dzieci na leżała w ciągłej pograżona śpiączce. Nawet kiedy ją obracano, nie otwierała oczu. Krztusiła się tylko od czasu do czasu, polykając ślinę. Oczodoły pogłębione, u podstawy okolone ciemnymi pręgami. Skóra przybrała barwę żółtą, podobną do wosku, kończyny sine. Termometr 40.5.

— Infekcyja jest tak silna...

— Wielki Boże! Nie ma ratunku?

— Rozpoczyna się porażenie.

Och, kto nie widział konającego dziecka, niech nie mówi, że zna rzeczy okropne i do głębi wstrząsające; ale kto patrzył na agonię własnej dziewczyny, dla tego i męki piekła nie wydadzą się okropnemi.

Ola umarła..

Na chwilę przed śmiercią otworzyła szeroko oczy. Było jej dobrze! Doznawała przyjemnego ciepła, jak wówczas, gdy słońce latem przypiekało jej białą, delikatną skórę na polance leśnej, przyscieloną mięciuchną trawą, obsypaną mnóstwem kwiatów. Tylko, że słońce nie świeci, ptaszki nie śpiewają... Przed oczyma tak szaro, szaro—ledwie poznaje rodziców w tych dwóch postaciach pochylonych nad jej łódeczką. Ale to oni, z pewnością oni; o, dobrze, że są przy niej... Dlaczego jednak nie przemówią? Ola słyszy tylko szum przeciągły, głuchy jakby szum lasu podczas burzy..

Mgła coraz gęstnieje... Wreszcie wszystko zlewa się w jedną szarą plamę... Szum ustał, cisza niezamącona, spokojna... O, jak jej dobrze! A teraz mrok się rozjaśnia... coraz jaśniej.

Oh, wreszcie tak jasno, jakby tysiąc słońc paliło... Gdzież ona? Łódeczka nie ma, okien nie ma, stolika nie ma, ani tych obrzydliwych na nim flaszeczek z lekarstwami.

Zjawia się jakaś dziwna postać. Ma na sobie białą, powiewną szatę i śnieżne skrzydła u ramion. Ola zagląda jej w oczy. Kto to? Niby mama, a niby tata.. Cóż znowu? Z nich obojga zrobiło się jedno?

Biała postać bierze dziewczynę ostrożnie na ręce i przytula miłośnie do łona.

— Ładna Ola, grzeczna Ola, pojedzie Ola hajtu, daleko, daleko.

— A mama, a tata?

Anioł z uśmiechem pogodnym pochylił twarz swą nad nią. Ależ tak! To tata i mama patrzają na nią. Dziecko wyciąga radośnie rączki, wolałając:

— Hajtu! hajtu!

Anioł frunął... Szczególnie! Tego Ola jeszcze nie wiedziała, że można jechać do góry. Ot im wyżej wznosi się na rękach anioła, tem jaśniej jej umysł poczyna wszystko rozumieć. W oka mgnieniu, z małej dziewczyny urasta wielkie dziecko, ba, dojrzała dziewczyna. Uśmiecha się rozkosznie na myśl o tej dziwnej zmianie.

Anioł tymczasem prosi ją, by spojrziała na dół.

— Co tam widzisz?—pyta.

Ola odwraca się z przerażeniem.

— Oh, jakże to okropne! Całe strumienie łez gorących kipią i kłębią się.

— Nie bój się—szepcze anioł, głaszcząc ją po czole.—Wyrwałem cię z nich, już ciebie nie dosięgną.

A potem prosi znowu:

— Popatrz jeszcze... Co tam widzisz w dole?

Ola odwraca się ze wstrętem.

— Oh, jakie to szkaradne! Co za olbrzymie trzęsawiska, pełne błota, robactwa i zgnilizny!

— Nie bój się—uspokaja ją anioł, składając na białem czołku pocałunek.—Wyrwałem cię z nich, już ciebie nie dosięgną.

Pędzą a pędzą, tysiące gwiazd mijając po drodze. A obok którejkolwiek przeleca—zawszą słyhać zgrzyty i jęki. Nakoniec nie ma już gwiazd; cały świat zostawili pod sobą. Podróż skończona.

— Gdzie my?—pyta Ola.

— Popatrz!

Boże! coż to za cudowne gaje. Jakie osobliwe drzewa i kwiaty; nigdy ich nie widziała, nigdy nie miała pojęcia, by mogło coś równie pięknego istnieć. A dopieroż to przedziwne, wonne powietrze; te czarujące głosy ptaków, czy harf złotych.. Oli serduszek dygocze z radości i upojenia.

Aż tu z naprzeciwna zbliża się Matka Przenajświętsza z Jezusem pospołu. Boskość bije od nich oslepiającym blaskiem, a jednak—dziwo—i oni tak wyglądają, jakby to był tata i mama.

— Oto Matko Boża, oto Synu Boży, przynoszę wam znowu duszyczkę białą, ani pyłkiem ziemskości nie skalaną,—powiada anioł.

— Czekamy cię, czekamy, ukochanie nasze—rzecze Marya, a Jezus dodaje:

— Ty najmilsza mi, ty najśladza, ty, dziecic serca mego, w którym sobie upodobałem.

Ola słucha, patrzy i sama wierzyć nie chce. Stoi przed Bogiem, a żadnej nie doznaje trwogi. RzUCA się w objęcia Jego i Matki Przenajświętszej, z tem uczuciem, że to tata i mama.

Tymczasem zewsząd gromadzą się coraz nowe postacie. Naprzód nadbiegła św. Olga, jako patronka, za nią patronowie rodziców, potem inni święci—któż ich policzy? Wszyscy tacy piękni, tacy młodzi, tacy uradowani przybyciem Oli, a co najważniejsza, wszyscy znowu podobni jak dwie kropki wody do taty i mamy.

Wreszcie Matka Boska ozwie się:

— Skorośmy się już nacieszyli sobą, wypocznijże, córusicu droga.

I prowadzi ją na wezglowie z puchu białutkiego w złotej jakiejsz wspaniałej sali, a potem kiwa na aniołów i powiada:

— Pilnujcie mi tu, żeby kto drzwi nie otworzył. Nie macie co robić w niebie, jeśli Oli,

broń Boże, zamąciły sen rozkoszny te jęki i rozpacz, co aż tu dobiegają z ziemi, z nad jej trumienki.

St. Rossowski.

Wystawa „Koła Artystek Polskich“

W SALONIE SZTUK PIĘKNYCH A. Krywulca.

Miło nam jest podzielić się z czytelnikami naszymi wiadomością, iż w mieście naszym gości obecnie druga z rzędu wystawa „Koła artystek Polskich.“

„Koło“ jest instytucją młodą, ale pełną energii i dobrej woli, stowarzyszeniu temu z góry wróżyć można powodzenie, gdyż do dzieła bierze się żwowo — solidarnie — a intencje jego są znaczne i szlachetne.

Myśl założenia „Koła“ powstała w „Czytelnicy dla kobiet w Krakowie (ul. Szpitalna Nr. 7) jest to ognisko pracy kobiecej we wszystkich gałęziach i kierunkach. P. Marja Siedlecka przewodnicząca czytelni, jako osoba niezmiernie zasłużona i czynna, poddała myśl, aby artystki polskie rozproszone w kraju i po wszystkich wielkich miastach Europy, zechciały połączyć się w jedną grupę, która by ułatwiała wzajemne poznanie się, i zbliżenie wszystkich polek artystek.

Myśl tę przyjęto skwapliwie i natychmiast zabrano się do dzieła.

W pierwszej połowie Stycznia 1899 r. zostało zwołane — posiedzenie w celu bliższego porozumienia się o zadaniach stowarzyszenia; — początkowo przystąpiło doń osób 16-scie, liczba ta wzrosła szybko, i jest nadzieja, że powiększać się będzie z rokiem każdym.

Celem bowiem nie jest wyłącznie chęć popisu, ale stworzenie pewnego środowiska, wzajemne zbliżenie się, popieranie i podniesienie poziomu przemysłu krajowego, rugując naśladownictwo zagranicznych wyrobów, a doprowadzając sztukę rodzinną do możliwej doskonałości, tworzyć tem samem nowe pole zbytu i pracy, które dotąd leżało u nas odłogiem z powodu złego zrozumienia doniosłego znaczenia sztuki w przemyśle.

Sztuka stosowana stoi u nas dotąd bardzo nisko, nie dlatego aby brakło sił po temu, ale że większość fałszywie jej cele i zadania rozumie.

Ileż to osób poświęca czas kopiowaniu wzorków zagranicznych które powtarzają się aż do znudzenia na różnych paterach, ekranach, parawanikach etc. etc. I oto setkami rozchodzą się u nas ibisy, flamingi i przeróżne okazy flory i fauny obcej nam, które adeptki sztuki po dorywczo prowadzonych quasi studiach malarzkich, w świat puszczają.

Przyjeżdża się np. do miasta na zimę pobawić trochę, i zarazem obowiązkowo prawie w zakresie skończenia edukacji wchodzi lekcje malowania na drzewie, atłasie i porcelanie i to się u nas nazywa „sztuką stosowaną.“

Ale zabawka ta, wieczny dyletantyzm; kogóż seryo myślącego zadowolnić może?...

W prassie naszej coraz częściej podnoszą się głosy nawołujące nasze panie do gruntowniejszych studiów na tem polu.

Bardzo niewiele stosunkowo kobiet u nas wybiło się na więcej wydatne stanowisko, dla tego może, iż aspiracje przechodzą częstokroć ich siły; wiele znów jest takich których nie stać na gruntowniejsze studia zagranicą, pogardzają zaś tem co się samo pod rękę nawija, a czem mogły by rzeczywiście korzystać przynieść sobie, wzbogacając zarazem przemysł ludowy tak bardzo potrzebujący opieki zdolnych, i pojmujących szersze cele, jednostek.

Na wystawie secesjonistów wiedeńskich; artyści niemieccy obrabiali wzory polskie; — u nas zaś zaledwie słabe są objawy dążności w tym kierunku, a szukanie natchnienia w swojskich or-

namentacyjnych motywach, jest nader rzadkiem i wyjątkowym zjawiskiem.

Nie znamy lub lekceważymy sobie własny przemysł ludowy, i dla tego perskie, indyjskie turkiestańskie tkaniny, a częstokroć tylko marne ich naśladownictwo, ma popyt u nas, i płaci się często na wagę złota, gdy temczasem barwne wieśniacze kilimki umiejętnie użyte, mogły by śmiało iść o lepsze z wełnami wschodnimi. Dajmy więc tylko wzory, otwórzmy rynki zbytu, a wtedy ów kopcuszek kryjący się skromnie w cieniu, — nasz przemysł ludowy, na przynależnym mu możemy postawić stanowisko.

Potrzeba koniecznie aby inicjatywa wyszła z koła ludzi inteligentnych, ażeby motywa ludowe zostały należycie wyzyskane.

Otóż stowarzyszenie artystek polskich w Krakowie, dział ten objęło w swój program, z punktu widzenia artystycznego, jak również z poczucia obywatelskiego — i z tego powodu przyklasnąć im warto gorąco.

Na przewodniczącą powołaną została znana chlubnie artystka malarka p. Olga Boznańska, której talent wybitny i samodzielny, zyskał już rozgłos w szerokich kołach tak u nas jak i zagranicą.

Vice-przewodniczącą jest p. Leona Bierkowska wielce utalentowana artystka, na sekretarkę stowarzyszenia obrano p. Maryę Wolińską, a skarbniczką mianowano p. Maryę Podlewską.

Pod kierunkiem tak wybitnych, a dobremi chęciami ożywionych pracownic, „Koło“ zaczęło myśl swą natychmiast wprowadzać w życie, zaznaczając swe istnienie wystawą otwartą d. 16 Lipca, w salach sztuk pięknych w Sukiennicach w Krakowie.

Wystawa objęła 100 sztuk dzieł, nie licząc w to sztuki stosowanej która na pierwszy raz wypadła słabo, dając tem miarę, jak wiele w tym kierunku pozostaje do zdziałania i do życzenia.

Za uprzejmem pośrednictwem p. Krywulca, obecnie została otwartą też sama wystawa w Warszawie, uzupełniona licznymi pracami nowo przybyłych członków stowarzyszenia.

Udział członków jest bardzo przystępnymi warunkami objęty, a mianowicie:

Wpisowe jednorazowe w kwocie jednego flor:
Wkładka roczna dwa floreny.

Członkowie nadzwyczajni nie opłacają wpisowego, ale za to nie mają prawa w głosowaniu przy wyborach i uchwałach stowarzyszenia; natomiast wraz z członkami zwyczajnymi, mają prawo korzystania z wszelkich innych przywilejów.

Obecnie „Koło“ liczy do 60-ciu członków, zwyczajnych, i nadzwyczajnych, fundusze początkowo są zbyt małe, aby można od razu mieć własny lokal, ale z czasem jest nadzieja że stowarzyszenie będzie mogło o tyle się rozwinąć, aby stanąć o własnej sile.

„Baczenie śledzić cały ruch artystyczny zagranicą, a nasz własny rozbudzać i doprowadzać do tak artystycznej doskonałości, aby w niczem zagranicy nie ustępował, a odznaczał się naszym rodzimym typem,“ oto jest program „Koła“ i w tem zawierają się zasadnicze jego zadania.

A teraz kilka słów o wystawie:

P. Olga Boznańska (Monachium) dała nam czternaście prac, pełnych zawsze artystycznej śmiałości, i oryginalności w traktowaniu przedmiotu. Są to przeważnie studia głów kobiecych, jak zwykle u tej artystki, w oczach modelu koncentruje się wyraz nadający nastrój całemu obrazowi.

Oto spis jej dzieł zebranych na wystawie:

„Cyganka“ — „Dziewczyna z kwiatem.“ — „Zamyślona“ — „Dziewczynka“ — „Szkic Dziewczynki“ — „Głowa Włocha“ — „Głowa kobieca“ (pastel) — „Włosi“ — „Maki“ — „Kwiaty zwiędłe“ — „Kwiaty lila“ — „Pies“ wszystko to wybornie studyowane.

Również z Monachium pochodzą prace p. Maryi Wolińskiej, która dała się nam poznać jako pejzażystka w doskonałym studium zatytułowanym: „Z wnętrza stodoły“ a jako portrecistka dając „Portret artystki“ i „Głowę mężką“ (pastel).

Tchną też Monachijską szkołą prace p. Maryi Czajkowskiej. Śmiało traktowany szkic zatytułowany: „Nastrój poranny“ posiada wiele zalet kolorystycznych, jak również „Dziewczyna w słońcu“.

Leony Bierkowskiej (Kraków) Obraz „Na pomoc“ przedstawiający zamieć śnieżną, z wielką ekspresją malowany; „Sobótka“ kompozycja fantastyczna pełna tajemniczego uroku.

Wyróżniają się też Bierkowskiej Karoliny „Intencja“ „Snopy“ „Burza“ i „Promień słońca“.

P. Anieli Biernackiej (Warszawa) obrazy: „Śty Antoni“ „Ś-ta Zita“ „Wspomnienie“ „Na chórze“ „Jesienią“ i „Irysy.“

P. Jadwigi Boguskiej. Portret dużych rozmiarów przedstawiający dwie postacie kobiece.

P. Maryi Dulębianki (Wiedeń) pełna rzewnej melancholii postać zatytułowana „Gromnice“ i „Z daleka“.

P. Józefy Czarlińskiej (Paryż) „Główka kobieca“ „Głowa wieśniaczki ukraińskiej“ „Typ wiarusa“ i „Studium“.

P. Maryi Eljaszówny „Kwiaty“ (akwarelle).

P. Marya Gersonówna oprócz ślicznie wykonanych medali Chopina i pełnej wyrazu rzeźby przedstawiającej „Melancholię“ z podpisem u dołu: „lasciate ogni speranza“ na której tkwi honorowe odznaczenie „mentionné antérieurement“ będące dowodem że i zagranicą należycie została ocenioną ta praca naszej znakomitej artystki, nadesłała jeszcze pastel przedstawiający sympatyczną postać kobiecą. Jest to dopiero druga praca tego rodzaju p. Gersonówny z którą się spotykamy, a dająca miarę jej talentu który i na tem tak mało przez siebie uprawianem polu, wybitnie się odznacza.

Pastele p. Klementyny Mien budzą też ogólne zajęcie, szczególnie „Główka kobieca“ „Góral“ i „Głowa Chrystusa“ odznaczają się wielkimi ziletami, „Japonka“ i „Włoch“ mają też wielu zwolenników.

P. Hanny Jasińskiej „Owoce“

P. Alfonsyny Kantgowskiej „Droga Cmentarna“ (rysunek kredkowy).

P. Otyli Kraszewskiej akwarelka „kocha nie kocha.“ Dalej artystycznie wykonane „Irysy“ (akwarella).

P. Ludwika Krzeszowej zwracają uwagę widza i pendent do nich „Kwiaty polne“.

P. Mayerberg Marya dała studium p. t. „Za czytana“ i „Lewkonie“.

P. Modesta Olszewska „Głowę dziecka“.

Bardzo wdzięczny i dobrze studyowany obrazek nadesłała p. Aniela Pająkówna zatytułowana: „Z kościoła St. Germain“.

Amali Palecznej studia: „Dziewczyna z sianem“ „Włoszka“ i „Angielka“.

P. Anna Paszkiewiczówna dała całą seryę akwarel przedstawiających kwiaty. A więc „Astry“ „Łotocie“ „Irysy polne“ „Lilie“ „Narcyzy“ „Tulipany“ i „Róże“ walczą o lepsze barwnością, i sumiennem traktowaniem przedmiotu.

P. Józefy Paszkiewiczówny „Koniec burzy“ „Zmierzch jesienny“ „Wczesna wiosna“ pejzaże malujące różne nastroje przyrody z wielkim poczuciem prawdy. Studia z błot pińskich zatytułowane: „Rozlew wiosenny“ „Wschód księżycy“ „Pod wierzbami,“ stanowią harmonijną całość.

P. Marya Podlewska nadesłała „Portret własny“ doskonale malowany i sympatyczny w kolorze, dalej idą „Flamand“ „Włoszka“ „Martwa natura“ „Moczary“ i interesujący przstel: „Stradom o zmroku“.

Na studiach pastelowych p. Zofii Rittner z Wiednia silnie się odbija wpływ secessji; „U ogrodnika“ przedstawia bardzo dobrze studyowane wnętrza ubogiej izdebki.

P. Sylwii Reisky spotykamy śmiało jak zwykle szkicowany pastel: „Pasterz bretoński“ i piękne „Chabry“ studium olejne.

P. Joanna Seifman z Paryża nadesłała: „Jan Gąsiennica“ „Główka kobieca“ „Z jarmarku“ (akwarella) i Krajobraz.

Ireny Serdówny z Tarnowa „Bzy“ i „Róże“. Zawsze z przyjemnością spotykam się na wystawach z nazwiskiem Zofii Stankiewiczówny pejzażystki o śmiałym i szerokim zakroju, która

przyrodę naszą zna tak dobrze, ukochała ją i umie z prawdziwym artyzmem przenosić ją na płótno, odtwarzając na pozór szkicowo swe wrażenia, prace jej jednak zawsze wyróżniają się prawdą i siłą.

Obraz „po burzy“ szczególnie wzrok widza przykuwa i na długo zostaje w pamięci „Pług“ i „Ziemia“ posiadają też wszelkie zalety cechujące prace naszej utalentowanej artystki.

Anny Ofmańskiej „Nawałnica“ wyróżniający się pastel, i „Krajobraz“. Znajdują się na wystawie miniatury.

P. Heddy Stoffregen z Drezna, bardzo starannie wykończona, jest to rodzaj dotąd rzadko u nas uprawiany.

P. A. Stajewskiej sumienne studia: „Rudowłosa“, „Głowa mężczyzny“, „Staruszka“, „Głowa kobiety“.

P. Leokadja Lempicka dała tylko jeden portret pastelowy, jak zwykle starannie zrobiony i pełen wyrazu.

P. A. Rozenblum „Muskieter“ i świeżo przybyłe studium „Włoch“—oto i wszystko co I-sza w Warszawie wystawa Koła artystek polskich zebrać w tak krótkim przeciągu czasu jednak potrafiła.

Zauważyliśmy jeszcze bardzo dobry portret mężki pędzla p. Biernackiej już po otwarciu wystawy nadesłany, i pejzaż morski p. Natalii Dzierżkówny p. t.

„Brzegi Białego morza“

Ponieważ wystawa trwać będzie bardzo nie długo, mamy nadzieję, że czytelniczki nasze pośpieszą aby zwiedzić tę interesującą ze wszechmiar wystawę, gdzie zgromadzonym jest po raz pierwszy dorobek artystyczny kobiet polskich poświęcających się sztuce, mam też nadzieję że czytelniczki nasze nie tylko pójdą do Salonów p. Krywulta, lecz i dalszemi losami sympatycznego „Koła“ zechcą się nadal szczerze zainteresować.

Jerzy Orwicz.

BEZ TYTUŁU.

Powieść współczesna

przez

Stanisława Ostrowskiego.

(Dalszy ciąg).

Władysław pomyślał, że jeżeli w istocie państwo Bronicy żyć częściej widywać go u siebie, to warto temu poświęcić parę godzin w tygodniu, chociażby i nie na zbyt przyjemnych, byle nie zrażać ku sobie mecenasa. Poszedł więc jeszcze tego dnia na wieczór, a idąc myślał, że zapewne będzie musiał się tłumaczyć i przed gospodynią ze swej nieobecności na przesłotygodniowym zebraniu. Wszakże, pani Bronicka, chociaż powitała go uprzejmie, nie czyniła mu żadnej wymówki.

Za to panna Klara gdy pod koniec wieczoru znaleźli się sami w kącie salonu, zapytała go z uśmiechem:

— Dobrze się pan bawił wieczorem w zeszły Czwartek?

Władysław spojrzął na nią nieco zdumiony tem pytaniem:

— Jak zwykle. Spędziłem cały wieczór u siebie.

— A dlaczego pan nie był u nas? Papa—dodała po chwili—był zdziwiony pana nieobecnością, a i ja—sądziłam, że pan przyjdzie...

Tu podniosła na niego swoje wielkie, czarne oczy, w których zamigotał jakiś błysk zalotny, i zaraz nakryła je rzesą.

A Władysławowi błysk ów wydał się dziwnie niemiły i sztuczny, i w tej chwili przypomniały

mu się ciemne, kochane oczęta Zosi i te cudne, zapalające się w nich złote iskiereki, pełne czaru i serdecznego ciepła.

Więc serce zadrżało mu rozkosznie na wspomnienie tamtych, a później ścisnęło się cichym smutkiem. Odrzekł chłodno i obojętnie:

— W istocie, bywam nieraz odludkiem i najmilsze chwile w życiu zawdzięczam właśnie samotności.

Znów podniosła na niego oczy z dziwnym jakimś wyrazem:

— Samotności?—zapytała niedowierzająco—chyba pan żartuje... Ach, dla mnie uczucie osamotnienia byłoby wprost zabójczem...—tu wstrząsnęła się ze wstrętem—to nie samotności, lecz zapewne tym myślom, jakie wówczas pana nawiedzają, pan zawdzięcza te najmilsze chwile.

Muszą to być bardzo miłe i bardzo ponętne myśli—niechno pan się przyzna?

Tu znów spojrziała na niego zalotnem spojrzeniem.

— Zgadła pani. Doprawdy, podziwiam pani przenikliwość. Obrazy i myśli, które wówczas mi przychodzą, są w istocie bardzo piękne i nęcące, a nadewszystko—bardzo dla mnie drogie...

— Chciałabym choć przez chwilę być wówczas zwierciadłem pańskiej duszy, i—podpatrzeć je—naturalnie w ukryciu przed panem.

— O, byłaby to rzecz zbyteczna! nie jestem wcale o nie zazdrosny—i sam je otworzę przed panią. Widzę wówczas oczyma duszy moje strony rodzinne, ukochane pola i lasy, a tak piękne, że ztąd wydają mi się snem i widzeniem rajskim...

— Ach! więc to do swoich stepów pan tęskni?... Zawołała panna Klara z nagłem ożywieniem w głosie. — Znam! znam te wasze tęsknoty—

I poczęła deklamować z uśmiechem:

„Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach!...“

— Powiedz pan—pytała dalej z ożywieniem—czy naprawdę tak piękny jest kraj tanten, że ktokolwiek ztamtąd w świat wyjdzie, to wśród wszystkich cudów i piękności świata pozostaje już smutny i pełen nazawsze wspomnień i tęsknot?...

— Ja bo zawsze z pewnem niedowierzaniem słuchałam tych zachwyty—ale pana—tu spojrziała nań przeciągłym wzrokiem—pana nie posadziłabym chyba o nieszczerłość...

— I niech pani wierzy, że było-by to niesłuszne posadzenie—przynajmniej w tym razie,—odrzekł Władysław śmiejąc się.

— W tym razie?... Podchwyciła szybko panna Klara—a więc w innych?...

— Więc w innych mogłoby być różnie—odciał z jakimś dziwnym wyrazem twarzy.

Wkrótce począł się żegnać. Podając mu rękę, panna Klara odezwała się słodkim, przyciszonym nieco głosem:

— A w przyszły Czwartek pan dokończy mi opowiadać o stepach—nieprawdaż?...

I pożegnała go długim spojrzeniem oczu

VI.

Tak więc zaczynało się układać Władysławowi to życie pracowite, dość spokojne i jednostajne, dość jednak znośne, albowiem nie wymagał odeń Władysław wielu przyjemności i rozrywek, a patrzył na nie jak na coś, co ma mu w niedalekiej przyszłości wysłużyć Zosię i szczęście. Przyszłość ta wprawdzie malowała mu się w dość jeszcze niejasnych kolorach, przysłonięta niby jakąś mgłą oddalenia, złota—lecz tajemnicza,—choć na myśl o niej serce zaczynało mu uderzać gwałtowniej, a pierś zalewała niby fala szczęścia. W takich chwilach czuł nagły przypływ młodzieńczej energii i ogromną chęć jęcia się jakiejś choćby najcięższej pracy, wielkich wysiłków, któreby przyspieszyły tę przyszłość i to upragnione szczęście. Zająęcie obecne nie zadawałoby go, zdawało mu się bowiem, że przy niem bardzo powoli zmierza ku pożądanemu celowi.

W istocie, dochody, jakie mu ono przynosiło, były na razie dość szczupłe i mogły wystarczyć na utrzymanie jego samego tylko, podwoić się zaś mogły chyba za rok.

Przemysliwał więc nad tem, jakby to wyszukać jakie inne zajęcie dodatkowe, któremu mógłby poświęcić wolne godziny poobiednie, na razie jednak nie jakoś nie mógł upatrzeć.

Tymczasem więc ranki przepędzał przy pracy u mecenasa, potem szedł na obiad, po obiedzie zaś zwykle zaglądał na Hożą do Stanisława, pragnąc go nieraz wyciągnąć z sobą na przechadzkę.

Rzadko wszakże to mu się udawało. Stanisław pracował teraz po całych dniach, pragnąc jaknajprędzej wykończyć obrazy i następnie zbyć je, aby tem samem przyspieszyć możność wyjazdu do Ameryki. Zwykle więc kończyło się na tem, że Władysław wychodził od przyjaciela sam, zmartwiony i nawpół rozgniewany za jego upartą odmowę.

— Jeszcze rozchorować się gotów—mruzczał do siebie—chudnie i blednieje z dnia na dzień i już ani śladu na twarzy tych rumieńców, jakie przywiózł był ze wsi... A może tamto tak go toczy?...

I szedł do Saskiego ogrodu albo wymykał się gdzie po za miasto na pola, które piękna jesień ubierała w blade złoto i w smętne melancholizne uśmiechy.

Tamten zaś pozostawał sam, i dalej pracował gorączkowo i bez przerwy. Całymi godzinami nie wstawał od sztalug i nie wypuszczał z ręki pędzli. Kiedy niekiedy tylko rozprostowywał się, podnosił, obrzucał okiem płótno i mówił do siebie zcicha:

— Jeszcze parę tygodni takiej pracy, jeszcze dni kilka—i koniec... a wówczas—już wszystko zostanie po zamną, a przedemną—stepy... i wolność!...

I głębokie westchnienie ulgi podnosiło jego pierś, lecz zaraz zamyślał się i jakiś dziwny cień smutku mroczył mu czoło i twarz...

A potem znową otępiła się, odrzucał z białego czoła gęstą czuprynę—i z nową energią powracał do przerwanej pracy...

A Władysław, po owych zamiejskich wycieczkach, resztę wieczorów, które już się stawały coraz dłuższymi, spędzał w swoim pokoju, odczytując po wielokroć listy od Zosi, które za każdym niemal razem odkrywały przed nim jakąś nową cechę kochającej jej duszy. Listy te, oraz listy z domu, od rodziców i siostry, żywo malowały przed nim postacie ukochanych osób, wskrzeszały obrazy tamtych stron pól, łąk i lasów, przypominały wszystkie przeżyte przezeń uczucia. Wszystko to stwarzało dokoła niego jakąś dziwnie czystą i orzeźwiającą atmosferę moralną, która napełniała niby jakąś jasnością i wonią jego pokoi, a w której on czuł się niemal szczęśliwym, spokojnym i ogromnie bezpiecznym duchowo.

Dokoła niego szumiało głucho zgiełkliwe wielkowiejskie życie, niby morze huczące i groźne, pełne szaleń i niepokoju burzliwych fal, pełne wirów i toni zdradliwych, ciągnących na dno, pełne raf zgubnych i syrenich głosów—a on płynął pośród tych fal bezpieczny i spokojny, broniony kochaniem i cichą świętością, idącą od niej mu zdaleka. Żył niby na jakiejś wyspie zakłętej, trzymanej pod czarem zakłęcia i wspomnień serdecznych, niby w jakimś lepszym i idealnym świecie, w zaciszem i świętem schronieniu, do którego podwoje otwarła mu miłość.

Zaś to poczucie bezpieczeństwa i tej obrony było dlań tem cenniejsze, że był naturą wrażliwą ogromnie i że doznawał nieraz wrażenia ludzi, patrzących z wysokości na wir, który pod nimi gdzieś w dole pieni się i kłębi: doznawał uczucia zawrotu i jakiejś nieprzepatanej chęci rzuć się w ten wir, odurzenia się tym wichrem i szałem, aż do zapamiętania się, aż do szaleństwa. Czuł to doskonale, że teraz, pozostawiony sam sobie, nie oparłby się temu prądowi, który rwie się, i pieni z wściekłością żywiołową sił rozkiełznanych i ślepych, że byłby się rzucił weń na oslep—jak tyle tysięcy ofiar, które ten wir pochłania bez ratunku, lub jeśli wy-

rzuca — to już na brzeg skalisty i nagi — jako rozbitków żywota.

Przy tej myśli uczuwał nieraz chłód w kościach i mimowolne drżenie, lecz zaraz w następnej chwili jawił mu się jasny obraz ukochanego dziewczęcia, które mu oto podaje rękę, aby go przeprowadzić bezpiecznie przez życie — wśród tych fal i wirów — aż tam — gdzie się już kończy walka, a gdzie już tylko szczęście i zbawienie. Więc wówczas serce mu wzbierało jakąś bezmierną, wprost modlitewną wdzięcznością ku umiłowanej — i całą duszą garnął się z ufnością zupełną podskrzydła obronne swojego anioła.

Tymczasem życie mu biegło zwykłym trybem, i dzień każdy był bardzo podobny do poprzedniego. Wciążnął się już był powoli w to życie i doń nałożył, i jeżeli pragnął na razie jakiej zmiany, to chyba tego, aby więcej mieć pracy, więcej zajęcia, któreby zapewniło mu większe dochody i tem przyspieszyło upragnioną przyszłość. Spotkał się z paru dawnymi kolegami, którzy również osiedli w Warszawie i pracowali przy adwokatach. Wypytywał więc ich, jako lepiej znających miejscowe stosunki, czy nie wiedzą o jakim dochodnym zajęciu, którego mógłby się podjąć, lecz ci w niczem nie mogli go wspomóc radami. Zresztą, każdy z nich, oprócz swego głównego zajęcia, przyjąłby sam chętnie jaką pracę dodatkową, ale jakoś nie się nie trafiało.

Pewnego razu spotkał się na ulicy z Tadeuszem. Barczysty młodzieniec wyglądał jeszcze lepiej, niż przed wakacjami. Mocno uściśnął dłoń Władysława.

— Cóż to — żenicie się? Spytał odrazu po przywitaniu.

Władysław na razie stropił się nieco nie wiedział bowiem, skąd Tadeusz mógł się dowiedzieć o jego zaręczynach z Zosią, które postanowiono do czasu nie rozgłaszać.

Lecz tamten ciągnął dalej:

— Słyszałem, że bywacie parę razy na tydzień u Bronickich i kręcicie się koło panny.

— Ja ich znam — bywają u mojej ciotki, która tu mieszka w Warszawie. Stary podobno ma was za pieniądze faceta, więc rad pewno waszym umizgom.

— Kto wam to mówił? pytał zdziwiony coraz bardziej Władysław.

— Sam Bronicki mówił mojej ciotce, że wasz ojciec posiada duże dobra na Podolu i że jesteście jedynakiem. A o waszych wizytach wiem od Leśniewskiego, który także bywa u nich. Panna ma oczy, jak węgle — prawda? Szkoda, że trochę za stara, już pewno blisko trzydziestki. Tylko uprzedzam was, że nie ma ani grosza, bo papa prowadzi dom na pańską stopę i przy znacznych dochodach bodaj czy nie w długach po uszy.

— Ależ ja ani myślę z nią się żenić — przerwał mu śmiejąc się Władysław. Powiem wam nawet — dodał po chwili poważniej — że jest mi przykro, że podobne bajki chodzą po mieście. Proszę więc was, będzie tak dobrzy i nie rozgłaszajcie wy przynajmniej tego, bo ręczę wam, że nie ma w tem ani kropli prawdy.

— Więc nie macie poważniejszych zamiarów, a tylko tak zawracacie głowę Klarze?

— Ależ nie zawracam jej wcale! odparł niecierpliwiony już nieco Władysław.

Bywam u nich niekiedy, bo nie chcę zrażać ku sobie pana Bronickiego, który stale mnie zaprasza na swoje Czwartki, — ale wcale nie po dwa razy w tygodniu, jak to wam nagadali.

— To się stary omylił w swojej rachubie — rzekł śmiejąc się Tadeusz.

I zaczęli mówić o tem innym.

Wszakże, pożegnawszy się z Tadeuszem i zostawszy sam, zaczął Władysław rozmyślać nad tem, co usłyszał od kolegi o panu Bronickim. Przedewszystkiem, było bardzo niezadowolony, że poczęły w mieście krążyć plotki o jego jakoby umizgach ku pannie Klarze, lękał się bowiem, by te fałszywe wieści jakkolwiek drogą nie zaszły na Podole, następnie, począł myśleć, ile może być prawdy w zdaniu Tadeusza o panu Bronickim i czy w istocie ma on ja-

kie na niego „rachuby.“ Że go mecenas wyróżniał widocznie z pośród innych swoich pomocników, że był dla niego uprzedzająco grzeczny i że wreszcie zapraszał go gościnnie na swoje „Czwartki,“ zauważył to wprawdzie od razu i nawet dziwiło go to cokolwiek, ale wszystkie te względy można było przypisać szczególnym poleceniom listownym sąsiadów z Podola, ludzi zamożnych i wpływowych, stosunki z którymi mecenas widocznie bardzo sobie cenil.

Niemogąc rozwiązać tego pytania, postanowił bywać nadal u Bronickich i tylko być uważniejszym na wszystko i bardziej ostrożnym.

Wkrótce jednak zauważył, że panna Klara w istocie go kokietowała. Zaczynała go nawet powoli dość widocznie wyróżniać z grona młodzieży, a w czasie liczniejszych zebrań, gdy nieraz Władysław umyślnie usuwał się nieco na stronę, umiała w stosowną chwilę zręcznie wycofać się z grona i zbliżyć się ku niemu. Zaczynała z nim wówczas jedną z tych ciepłych półżartobliwych a w pół zalotnych rozmów, jakie umiała wieść z wielką biegłością i sprawą, za stępując nieraz niedomówione zdania powłóczytami spojrzeniami, rzucanymi z pod czarnych rzęs.

On zaś nie zawsze jednako odpierał te ataki flirtu. Czasem, gdy czuł się podnieconym nerwowo, zawiązywał z nią zaraz żywą szermiarkę słów błyskotliwych i ciętych, rzucał ją ką myślną i śmiałą, sam nią atakował swoją przeciwniczkę, a potem przechodził naraz do innego tonu i rozpoczynał niby odwrót wpośród słów sarkastycznych lub obojętnych. Panna Klara bawiła się wówczas wybornie. Zarzucała go gradem zapytań, niedomowień, zaprzeczeń, oraz gradem wejrzeń płonących i przenikliwych, niby grot. On jednak wytrzymał to wszystko, odbijał pociski tarczą lekkiej ironii lub sarkazmu, i dopiero wyszedłszy na ulicę i pozostawszy sam uczuwał głęboki niesmak i czezość w duszy.

Ogarniał go wówczas zwykle wielki serdeczny głód, ogromne pragnienie usłyszenia choćby kilku słów, takich prostych, serdecznych i dobrych, jakie wychodziły właśnie z ust Zosi. Pragnąc zadośćuczynić tej serdecznej potrzebie, powróciwszy do domu odczytywał listy Zosi, i po kilku chwilach zamiast owej nieznośnej czezości, która trawiła mu ducha, uczuwał pełnię uczuć tkliwych i dobrych, wielkie uspokojenie, a zarazem dziwne rozradowanie wewnętrzne, w którym duch pragnąłby ogarnąć w ramiona i przycisnąć do piersi jak brata — cały świat.

Częściej wszakże gwar salonowy robił na nim wrażenie dokuczliwego brzęku owadów, tem nieznośniejszego w chwili, kiedy serce w samotności i ciszy pragnęłoby oddać się echem cichym, dalekim i słodkim.

Wówczas lawirował pomiędzy gromadkami osób jak umiał najrzęczniejszy, aby pozostawać o ile można na uboczu, czując, że przymusowa i banalna przytem konwersacya byłaby dla niego nad siły.

Gdy w takiej chwili zbliżała się doń panna Klara z całym aparatem flirtu, on, nie mogąc wycofać się z rozmową, podtrzymywał ją albo nadzwyczaj lakonicznie, albo też starał się umyślnie ją pogłębić, i z lekkiego tonu, w jakim zaczynała ją panna Klara, przenieść na grunt zagadnień poważniejszych i wyższych. Była to taktyka która osobliwie niecierpliwiła ją i pozabawiała humoru. Jej żywy i nadzwyczaj lotny umysł — nakształt motyla — przefruwał w jednej chwili z przedmiotu na przedmiot, dotykając wszystkiego z lekka, powierzchownie, właśnie jak czyni motyl, który z każdego kwiatka zbiera tylko odrobinę słodkiego pyłku i nie zabawia na nim dłużej. Nadawało to jej rozmowie pozór barwnej i nęcącej mozaiki. Gdy jednak w tę igraszkę stylu i myśli motylkowych Władysław rzucał jakiś wyraz poważniejszy, podnosił jakie zagadnienie o życiu, o głębi duszy ludzkiej, o doniosłości uczuć, panna Klara starała się zbyć zaraz poważniejszą kwestyę jakim banalnym ogólnikiem lub nadać jej zabarwienie żartobliwe, gdy zaś on umyślnie podnosił

nastrój rozmowy, zniechęcała się w końcu i odstępowała.

— Jakiś dziś pan nudny! mówiła mu wówczas z grymasem na wpółśmiechniętej twarzy — za karę zostawiam pana samego — na pożarcie sfinksom jego myśli.

— Są to sfinksy, które spotka pani w życiu na każdym kroku. Trzeba je zwyciężać i zwalczać, nie zaś cofać się przed niemi.

— Od czegoż wy jesteście, mężczyźni, aby walczyć za siebie i za nas, usuwać podobne osty z naszej drogi i ślać ją różami i kwieciami?

— Są osty i ciernie tak niedostrzegalne dla innych, że je własnoręcznie jedynie wyrwać można, bo cudza ręka mogłaby być niedość delikatną i wprawną.

— A więc je omijać należy — odrzekła panna Klara — i odchodząc, rzuciła nań z pod rzęs powłóczytę spojrzenie.

On zaś patrzył za odchodzącą i dziwił się w duszy lekkomyślności tej kobiety, która w życiu tylko powierzchowną, barwną jego szatę, jak gdyby wprostnie domyślając się, że pod tą szatą jest jeszcze głębia, treść, którą poznać warto i jest obowiązkiem każdego człowieka.

I przypominały mu się wówczas te proste zdania, jakie nieraz słyszał w cichych rozmowach z Zosią, odsłaniające tak jasno jej piękną duszę i zacne kochające serduszko. I tu mu właśnie zajaśniały w całym blasku dobroć i zdolność do wszelkich poświęceń jego cichej dziewczeczki wobec pozornych zalet a istotnej nicości i egoizmu tej oto wielkoświatowej panny.

Pomyślał więc sobie w duszy, że chociażby dla tego kontrastu, który uczy go należycie poznawać i cenić to swoje kochanie, powinien kiedy niekiedy odwiedzać salon państwa Bronickich.

Tymczasem jednak miało się zdarzyć, że wkrótce mu zabraknie tego kontrastu.

Pewnego Czwartku, kończąc jakąś dość ożywioną rozmowę z Władysławem i podając mu rękę na pożegnanie, panna Klara odezwała się niespodzianie:

— Niechże pan nie zapomina, że za tydzień obchodzę dzień moich urodzin.

W istocie i pan Bronicki go uprzedził, prosząc, aby przybył na wieczór we fraku.

Projektował się więc bal.

Dowiedziawszy się o tem, Władysław uczuł nawet pewne zadowolenie, pomyślał sobie bowiem, że bądź co bądź zabawa będzie nieco przyjemniejszą od zwykłych czwartkowych zebrań. A że lubił przytem tańczyć, obiecywał więc w duchu, że pozwoli sobie kontredansa i parę polek.

Spóźnił się jednak nieco. Podchodząc do domu, w którym mieszkał mecenas, ujrzał z ulicy rząd okien mocno oświetlonych i przesuwające się w nich sylwetki tancerzy. Orkiestra grała kontredansa.

Dość obszerny salon mecenasostwa, w polowie nawet niezajęty podczas zwykłych Czwartków, był teraz wypełniony przez gości całkowicie. Parę bocznych pokoi stały także otworem, dokąd mogli się usunąć nietańczący lub pragnący odetchnąć w świeższej nieco atmosferze. W gabinecie mecenasa stało kilka zielonych stolików, obsadzonych już przez graczy i obstawionych przez „galeryę“ widzów. Tu grano przy świecach, w bocznym zaś buduarze płonęła różowa, zwieszająca się z sufitu, lampa chińska.

Za to salon oświetlony był rześcicie. Potoki oślepiającego światła zalewały go w całości, pachnąły kwiaty, rozchodziły się subtelne, lecz udurzające wonie perfum z toalet damskich, grzmiały kaskadą płynęły dźwięki orkiestry. Wszystko to wytwarzało atmosferę sztuczną, czarodziejską, podniecającą nerwy i usposabiającą do upojenia, szalu i zapamiętania się.

Takie przynajmniej uczynił ten salon wrażeń na Władysławie, tembardziej, że już od kilku miesięcy nie był na większej zabawie. Zatrzymał się w progach, aby zorientować się i dojrzeć gospodarzy. Kontredans był już w polowie, i niełatwo było przelawować pomiędzy przesuwanymi się parami na przeciwległą

stronę salonu, gdzie pod ścianą stały fotele i gdzie zapewne znajdowała się gospodyni w towarzystwie pań starszych. Pozostał więc w progu i dopiero po skończonym tańcu ruszył do ucałowania rączek.

Dostrzegł również pannę Klarę. W białym stroju, wśród potoków światła, wyglądała wspólnie.

Wielkie, czarne źrenice wydawały się jakgdyby jeszcze więcej rozrzeszone i błyszcząły, niby płomienne węgle, przyćmiewane niekiedy osłone atłasowych rzes.

Gdy składał jej życzenia, uściśnęła mocno dłoń jego i rzekła nieco przyciszonym, jakby zdyszczanym ze zmęczenia głosem:

— Dziękuję, dziękuję panu serdecznie, tembardziej, że wiem, że życzenia pańskie są szczerze.

Oblała go gorącym, długim spojrzeniem — i dodała po chwili:

— Z kim pan tańczył pierwszego kontredansa?

— Niestety spóźniłem się — odparł Władysław, starając się nadać swemu głosowi jaknajbardziej ubolewający ton. Mam jednak nadzieję, że powetuję to sobie w następnym, do którego ośmielam się prosić panią, jeżeli ma jeszcze ten taniec nie zajęty.

— Owszem, ale będzie on późno. Mazura pan z kim tańczy?

— Nie tańczę go wcale.

Tymczasem orkiestra rozpoczęła walca.

— A walca?

— Prawie wcale, ale tym razem uczynię wyjątek.

Podał jej ramię i popłynęli w takt kołyszących się tonów naokół salonu.

Odprowadziwszy pannę Klarę na miejsce, gdzie ją zaraz otoczyło grono młodzieży, Władysław wycofał się z tłumu i przeszedł do bocznego pokoju, gdzie zajął się przeglądaniem pięknych albumów, porozrucanych na stole. Z salonu dochodziły go dźwięki walca i przytłumiona nieco wrzawa zabawy, do pokoju coraz wchodził i wychodził mężczyźni, a jemu czyniło się coraz smutniej, przypominał sobie bowiem żywo wieczór w Zamiechówce i zdało mu się, że widzi przed sobą wyrażnie uroczą postać Zosi tańczącą z Michałem mazura. Wrażenie smutku i jakiejś przygnębiającej tęsknoty stało się wreszcie tak dolegliwe, że byłby uciekł — jak wówczas — w pole lub do ogrodu, gdyby dom mecenasa je posiadał. Pozostał więc w bocznym pokoju, mając wrażenie, że pierś mu ugniata jakiś beżmierny ciężar, niemal tamujący mu oddech.

Nie wyszedł więc do salonu podczas polki i dopiero gdy ozwały się dźwięki drugiego kontredansa stawiał się przy swojej tancerce.

Ta zaś była cała upojona zabawą i hojniej, niż zwykle, miotając płomienne, to znów w półomdlałe błyski ogromnych swych źrenic. Rozpoczęła z nim zaraz w tańcu szalenie wesołą i dowcipną rozmowę, ale on odpowiadał jej półsłowami i w jakimś dziwnym roztargnieniu.

W ciągu całego tańca znajdował się niby we śnie, jakby przez mgłę jakąś widząc najbliższe sobie postacie. Wreszcie, po skończonym kontredansie, gdy się znalazł znów w bocznym pokoju, uczył niby lekki zawrót głowy i jakąś omdlałą obojętność. Było to jakby reakcja po poprzednim jego stanie. Dusza, dręczona długo przygniatającym smutkiem, wpadła z wolna w jakiś beczucie, w jakiś stan ogromnie bierny, pozbawiony wszelkich chęci i pragnień. Usiadł na szezlongu przed stołem, wziął do ręki jakiś album i począł machinalnie przerzucać jego karty.

Atoli nieznacznie ten stan martwego duszy zacisza zaczęła mu ciężać. Nieznacznie poczęła powstawać potrzeba jakiegoś podniecenia, otrząśnienia się i wyrwania duszy z tej martwoty.

Miał przytem jasną świadomość, że jedno słowo z ust Zosi, jeden dźwięk jej głosu o przytomniłby go odrazu i ocucił. W tej chwili stanął mu w pamięci jej obraz, serce uderzyło żywiej i ta mgła, jaką był niby owionęty, zaczęła się rozsuwać.

Tymczasem muzyka umilkła i poczęto siadać do stołu. Władysław czuł, że przy największym wysiłku prowadzić jaką banalną rozmowę z sąsiadką u stołu byłoby dlań teraz rzeczą arcytrudną, widząc więc, że na uboczu stoi stół mniejszy, przy którym skupili się mężczyźni, przysiadł się do nich.

Znalazł tuż obok siebie jakiegoś młodego prawnika, którego znał trochę, spotykali się bowiem często na Czwartkach. Był to chłopiec ogromnie wesoły, który tańczył za dwóch, flirtował z paniami za trzech, teraz zaś przysiadł się do mężczyzn, pił bowiem za czterech, więc chciał być mniej skrupowany, niż przy damach. Dolewał też coraz Władysławowi do szklanki, który pił na umór, czując że to daje mu podniecenie, którego tak potrzebował przed chwilą.

Gdy więc wstano od stołu, cały salon wydał mu się jakby piękniejszy, światła bardziej jaszkrawe, postacie białe kobiet podobne zdala do przechadzających się aniołów, wszystko trochę niby fantastyczne i czarnoksięskie. Przeszedł się parę razy po salonie, lecz poczuł, że jakaś woń nieuchwytna upaja go i odurza zanadto. Skierował się więc ku drzwiom, wiodącym do przyległych pokoi, i u progu spotkał się z panną Klarą.

— Dokąd pan uchodzi? zapytała z uśmiechem — zaraz będzie walc.

W istocie w tej chwili ozwały się dźwięki orkiestry.

A on, nie myśląc już o tem, że walc jest mu zabroniony, podał jej ramię i zgubili się w wirze innych par.

Po kilku turach panna Klara szepnęła:

— Dość już... spoczniemy trochę. Jestem zmęczona.

W istocie pierś jej falowała szybko i głowa skłaniała się bezwładnie na ramię, jakby pod ciężarem bujnych hebanowych włosów.

Odprowadził ją więc na miejsce, ale w pobliżu nie było wolnego krzesła.

— Tu zanadto gorąco — rzekła doń jakimś w półomdlałym tonem — przejdźmy do sąsiedniego pokoju.

Weszli do przyległego saloniku, pograżonego w różowym świetle zwieszającej się z sufitu lampy. Panna Klara opadła na szezłag i poczęła szybko oddychać ze zmęczenia. Władysław stanął obok, oparty o ścianę, i zaczął obwiewać jej twarz wachlarzem, pochylony nad nią, patrząc na jej bladą twarz, na rozchyłone usta, na w pół — przymknięte źrenice. Wraz z ruchem wachlarza buchał na niego odurzający zapach jej włosów i nieuchwytna woń perfum; wszystko to odurzało i upajało go coraz bardziej, cały świat zdawał się wirować w koło niego. Naraz zdało mu się, że jej rzesy roztepliły się szerzej i z pod nich błysnął promień niecący i płomienny, jak błysk słońca, zaś usta zadrgały i rozchyliły się w jakimś dziwnym półuśmiechu — więc w tej chwili stracił już wszelką pamięć i wolę i poczęł z wolna nachylać się coraz niżej i niżej — aż jego wargi złączyły się z drżącymi ustami panny Klary.

Nagle u progu ozwał się szelest kobiecej sukni. — Władysław szybko się cofnął, wyprostował i spojrział — lecz pani Bronicka była już w środku saloniku, nie zatrzymując się i zmierzając ku przeciwległym drzwiom. Władysławowi zdało się, że dostrzegł na jej twarzy jakiś dziwny, zagadkowy uśmiech.

(Dokończenie nastąpi).

Z WŁOCH.

We Wrześniu.

Turyn ma wygląd odświętny z powodu uroczystości odsłonięcia pomnika Wiktora Emanuela; okolica prastarej Romy wre życiem, dzie-

ki odbywającym się wielkim manewrom. Te dwie najwybitniejsze, a zresztą chyba i jedyne, *causes célèbres* dnia posłuży mi też w części za temat do dzisiejszej korespondencji.

Historia pomnika Wiktora Emanuela przedstawia się w pobieżnym zarysie jak następuje: W parę lat po śmierci ojca, która nastąpiła w roku 1878, król Humbert wyraził życzenie, aby w Turynie, gdzie narodziła się konstytucja i gdzie w ciągu całych stuleci przebywała dynastia Sabaudzka, wzniesiony został pomnik króla Wiktora Emanuela.

Ze swej strony król ofiarował na ten cel milion franków. Po wyborze miejsca pod budowę pomnika na placu broni, ogłoszono konkurs na projekt monumentu, do którego stanęło w turnieju 54 rzeźbiarzy wyłącznie Włochów.

Stworzenie dzieła powierzono artyście rzeźbiarzowi z Genui nazwiskiem Costa, który jednak tak nieenergicznie zabrał się do pracy, że sięgnął tem na siebie wiele przykrości, aż w końcu czuł się tak dotkniętym bezustannem napędzaniem komitetu budowy, iż nawet nie przyjmował udziału w uroczystości odsłonięcia pomnika. Stworzone przez Costę dzieło imponującą się przedstawia. Wysokość pomnika wynosi 37 metrów, a podstawa 600 metrów kwadratowych. Posąg króla ma 9 metrów wysokości. Dokoła głównej postaci królewskiej, między kolumnami z różowego granitu, znajdują się cztery postaci alegoryczne: Jedność, Praca, Braterstwo i Wolność. Figury te mają po 7 metrów wysokości chociaż przedstawione są w postaci siedzącej.

Podstawa i cokół pomnika są ciosane z granitu szarego; zwieszające się dokoła festony brązowe pokryte są napisami, uprzytomniającymi główne epizody sławnych walk narodowych.

Odsłonięcie pomnika odbyło się niezwykle uroczysto. Obecni byli: król i królowa, księżęta i księżniczki, ministrowie, przedstawiciele władz wojskowych i cywilnych oraz nieprzeliczony tłum ludu. Król Humbert z okazji tej uroczystości ofiarował dla biednych miasta Turynu 100 tysięcy franków.

Wkrótce odsłonięty będzie w innym miejscu pomnik Najświętszej Panny, a mianowicie na szczycie najwyższej z gór, otaczających Suzę.

Myśl dzwignięcia pomnika na takiej olbrzymiej wysokości zrodziła się w umyśle profesora Girardiego. Koszta budowy pokryte zostały z dobrowolnych składek 130 tysięcy dzieci.

Pomnik znajduje się na wysokości 3,537 metrów na wierzchołku prawie niedostępnej góry. Posąg Najświętszej Panny wykonany w brązie razem z podstawą granitową ma wysokości 7 metrów. Z przodu ma być umieszczona tablica z napisem, ułożonym przez Ojca Świętego: „Bielsza od śniegu.“ Poświęcenie pomnika ma się odbyć wobec zebranych w dolinie tuż z powodu wielkich manewrów wojsk włoskich. Na ostatnie dni manewrów ma przybyć dla przyjęcia w nich udziału król Humbert. Armja włoska liczy obecnie na podstawie ostatnich danych statystycznych, 3,221 726 ludzi, to też podczas manewrów wszędzie niemal wre życie i spokojne zwykle miejscowości ożywia duch wojenny.

Po ukończeniu manewrów lądowych mają nastąpić manewra marynarki, które budzą wielkie zaciekawienie z tego względu, iż podczas nich włoskie statki wojenne po raz pierwszy staną w pełnym rynsztunku bojowym co da możliwość dokładnej oceny stanu sił morskich Italii. Program manewrów zależy od uznania księcia Tomasza, który też dokona przeglądu wszystkich statków wojennych.

Notuję jeszcze parę nowinek bieżących, aby przejść do sprawozdania z mej artystycznej wycieczki do Wenecji, gdzie właśnie otwartą została wystawa dzieł sztuki, urządzona peryodycznie przez władze municypalne. Z nowin teły kursuje tu wieść, iż były nuncyusz papieski w Hadze, wyjeżdża do Petersburga.

Stan zdrowotny przedstawia się zupełnie zadowalająco i wieści o pojawieniu się dżumy w Neapolu i Palermo są pozbawione wszelkiej podstawy.

©5: się tyczy wystawy dzieł sztuki w Wenecji, to przyznać trzeba, iż te międzynarodowe turnieje, periodycznie organizowane przez władze municypalne Wenecji, nie rozwijają się zupełnie i z roku na rok przedstawiają się gorzej. Zwiedzając trzecią z rzędu wystawę taką zauważyłem nawet— pewne cofanie się miast w rozwoju. Na wszelkich wystawach, jak na widowisku dramatycznym lub operowym, gdzie główną rolę gra Salwini lub Zoccone, to i całe przedstawienie inne robi wrażenie, komicznym jest wabik w postaci dzieł znanych i uznanych mistrzów, około których, jak dokoła słońca, grupują się gwiazdy drugorzędnej wielkości. Na pierwszej międzynarodowej wystawie w Wenecji takim wabikiem były obrazy włoskiego malarza Grosso: „Il supremo convegno“ i precudna „La Femme.“ Na drugiej— „Pojedynek“ Repina i „Dirce chrześcijańska“ Siemiradzkiego. Na obecnej wystawie nie podobnego niema i sprawia też ona mierne wrażenie. Brak prostoty w malarstwie zaznacza się w wielu obrazach ze szkodą dla ich wartości artystycznej. Ich twórcy przydałoby się zastosowanie systemu nauczania pewnego profesora śpiewu z Medyolanu, który znęcał się niemal nad swymi uczniami. Pewnego basa zmuszał do śpiewania w postaci skurczonej pod krzeselkiem.

— I na cóż to „maestro!“— pytał nieszczęśnik.

— Na to, że, jeśli ty zdołasz wydać chociaż jeden przyzwyczajony dźwięk, znajdując się w takiej sytuacji, to w każdym innym wypadku śpiew nie będzie przedstawiał dla ciebie żadnych trudności.

Artyści włoscy, których prace zgromadzone są na trzeciej wystawie weneckiej, przypominają owych nieszczęśliwych uczniów, którzy zamiast śpiewać naturalnym głosem w naturalnej pozycji, kurczą się pod krzesłami, stają do góry nogami i następnie z tryumfem pytają:

— Nieprawdaż, jakie to piękne? Nieprawdaż, że od razu widać, że tylko u nas istnieje prawdziwa współczesna i artystyczna szkoła?

Prym trzyma w tym względzie Lartorio ze swoją „Gorgoną“ i „Dyaną Efeską.“ Artysta w tych mitologiczno-symboliczno-metafizycznych obrazach pragnął przedstawić dwa rodzaje marności ludzkiego bytu.

Z jednej strony Gorgona, która przy czarującej piękności, jest jednocześnie życiem; śmiercią, bo rodzi i uśmierza bohaterów, z drugiej— Diana z Efesu, karmiąca tysiącem piersi ludzi i ich chimery. Gdy pominiemy metafizyczny sens tych obrazów Sartoria, to zobaczymy z jednej strony wychodzącą z morza kobietę, umiarkowanej urody, a nóg jej wijących się w bolesciach kilku biednych nęgrów; w oddali widać coś w rodzaju skały, przypominającej morskiego potwora, czy też morskiego potwora, przypominającego skałę; z drugiej strony dokoła znanego wielopiersiowego bałwana Artemidy Efeskiej купа ciał zupełnie, porzniętych zwierząt. Studya do tych obrazów świadczą, iż w Sartorio siedzi kawał nietuzinkowego artysty i tylko modne „izmy“, każą mu wlażyć pod stół i śpiewać nie swoim głosem symboliczne arye. Zupełny kontrast z tymi obrazami stanowi „Madonna“ Porizzoniego.

Niektórzy utrzymują iż dzieło to malowane jest zbyt nieśmiało, „wylizane“, jak mówią artyści, szczeniacy się niestaranem i chrapowatym malowaniem.

Uwaga ta jest w części słuszną. Widać z tego obrazu, iż artysta nie „wziął i na malował“ go, jak każdą inną rzecz ale dobrze się koło niego nachodził, onieśmielony niewypowiedzia-

ną prostotą, a zarazem ogromem podjętego zadania. Nieśmiałość ta artystyczna tem bardziej godną jest podziwu, iż Porizoni uważa się za przedstawiciela rzymskiej szkoły artystycznej „in arte libertas“, która odznacza się wszelkimi możliwymi grzechami artystycznymi, nie nieśmiałością. Dokoła „Madonny“ panuje bezbrzeżny dekadentyzm, przejawiający się w jasno-zielonych baranach, pomarańczowych dziewczicach, fiołkowych, pstrych i przegowatych. Jury wystawowe z tryumfem zaznacza, iż nie dopuściło na wystawę rzeczy banalnych, przyjmując jedynie dzieła, choćby z widocznymi brakami, ale świadczące o szczerości artysty, o poszukiwaniu przezeń dróg nowych i t. d., gdyż wystawa wenecka — *respinge tutte le forme della volgarita*. Z 510 obrazów i 61 rzeźb, nadesłanych na wystawę, jury przyjęło tylko 151 obrazów i 20 rzeźb.

Często jednak i rzeczy szablonowe są tak pełne uroku, że trudno się od nich oderwać. Ostatecznie szablonowe są żydówki Zichla, główki Blaaza, obrazy Kowalskiego i t. d. Blaaz wystawił w Wenecji „Mia Nonna“ portret śmiejącego się dziewczęcia. Nie trzeba patrzeć do katalogu, aby się przekonać, że się stoi wobec wiecznego Blaaza z jego wiecznym modelem. A jednak stoi się, stoi długo i uśmiecha w odpowiedzi na szczery uśmiech tego dziewczęcia z obrazu.

Wogóle jednak dział rzeźby przedstawia się znacznie lepiej niż malarstwo. Szereg pięknych prac Konstantego Bartelli, wśród których zwraca uwagę biust Mascagniego i Bragi, grupa „Dal torrente“, przedstawiająca ratowanie tonącego Urbana Nonno, „Dal Cuniculo di Vejo“, postać żołnierza z czasów starożytnych, Karola Lereni — sprawiają bardzo korzystne wrażenie, a ostatnia zapowiada w autorze bardzo wiele na przyszłość. Do słabszych prac należy „Święty Augustyn“ sławnego Franciszka Seraco. Postać świętego, dzięki nadanej przez twórcę pozycji z ręką na żołądku sprawia bardziej konieczne niż podniosłe wrażenie.

Obrazy całej wystawy stanowi kolekcja prac pośmiertnych znakomitego Jakóba Fauretto, zebrała z różnych końców świata. Artysta ten umarł w 1887 roku, licząc zaledwie 38 lat życia. Specjalnością Fauretto był rodzaj: łapanie myszy, ucieczka dziewczęcia przed natrętnym wielbicielem, targ gałganiarek, kwaciarki, baliki ludowe — oto tematy obrazów Fauretto. Urodzony w Wenecji pozostawił w swych obrazach wiele specjalnie weneckich nastrojów zaczynając od efektownego romantyzmu, a kończąc brudem i błotem tego fantastycznego miasta.

Od dwóch lat rozwija w Rzymie akcję komitetu międzynarodowy, mający na celu urządzenie manifestacji uroczystych katolickich na cześć Jezusa Chrystusa, Zbawiciela Świata, wraz z kończącym się stuleciem, jako protest przeciwko prądom wywrotowym, przeciw demoralizacji, nurtującej życie prywatne i publiczne.

Manifestacje będą zarazem hołdem, oddanym Papieżowi, jako namiestnikowi Chrystusa Pana. Komitet urządza więc jeszcze przed rozpoczęciem roku jubileuszowego zbiorową pielgrzymkę do Palestyny, do Ziemi Świętej. W tym celu w d. 9 października odpłynie z Neapolu parowiec. Wpisy przyjmuje Monsignor Radini Tedeschi, mieszkający w Rzymie na Corso Vittorio Emanuele 21. Jak donosi p. Darowski, kosztą podróży pierwszą klasą wynoszą 640 lirów, drugą 515, trzecią 415 lirów w złocie — wraz z utrzymaniem i przejazdem.

W r. 1900 projektowana jest podobno pielgrzymka do Loretto. Na czele komitetu, zajmującego się uroczystościami jubileuszowymi, stoi kardynał Jacobini, prezesem jest hr. Acquadeni z Bolonii; pomiędzy wice-prezesami znajduje się O. Paweł Smolikowski, którego zastępuje ks. Skirmunt; sekretarzem jest ks. Zibura z Kolegium Polskiego. Rok jubileuszowy zamknięcie się uroczystą mszą w bazylice watykańskiej w d. 1 Stycznia 1901 r., którą odprawi Leon XIII, przyczem ofiarowany będzie Papieżowi kielich złoty. Na to obudzenie się ducha katolickiego w tłumach, oburzają się masoni, którzy gotują uroczystość dla Giordana Bruno, spalonego na stosie w XVI wieku za opór przeciwko papieżowi i złe życie.

W d. 3 października odbędzie się w Rzymie zjazd orientalistów, których się zbierze 500 osób ze wszystkich stron świata.

Przypominają sobie czytelnicy z koncertu w Teatrze Wielkim w Warszawie oratorium ks. Perosiego. Kapłan-kompozytor nie ustaje w pracy: świeżo wystawił nowe oratorium „Boże Narodzenie.“ Każde dzieło młodego kompozytora budzi tu ogromne zajęcie.

M. J.

MYŚLI.

Upadek cywilizacji starożytnej był spowodowany brakiem odpowiedniego rozwoju kobiety, brakiem współdziałania tejże w jej sprawach. Kobiety nie mogły zająć swego miejsca w cywilizacji klasycznej bez przekształcenia takiej.

Morgan.

Głęboko jestem przekonany, iż moralny i umysłowy postęp mężczyzny narażony jest dziś silnie na to, że się zatrzyma lub nawet pójdzie w kierunku wstecznym, jeżeli rozwój kobiety pozostanie na niższym odcinku poziomu.

J. St. Mill.

Dotychczasowe kierowanie prawodawstwem przez mężczyznę wykazało, iż tenże nadużywa tej władzy na swoją korzyść dla obojętnienia kobiety; temu na przyszłość trzeba stanowczo zapobiedz.

Bebel.

Kobieta i mężczyzna, — jako istoty ludzkie są sobie równe w zupełności. Przeznaczenie kobiety jest toż samo co przeznaczenie mężczyzny. Różnica ich organizacji fizycznej nie ma nic do ich przyrodzonej równości.

Klemens Aleksandryjski.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: *Samotna*, powieść przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Arkusz 10-ty.

Treść: Na werendzie. (Pogawędka), przez ??—Nokturn, przez St. Rossowskiego.— Ola, przez St. Rossowskiego.—Wystawa „Kola Artystek Polskich“, przez Jerzego Orwicza.—Bez tytułu. Powieść współczesna, przez Stanisława Ostrowskiego (dalszy ciąg). — Z Włoch, przez M. J.—Myśli.

Dotychczas obejmuje: *Samotna*, powieść, przez Werbeck'a. Przekład Z. S. Ark. 10-ty.—Przegląd mód. 20 wzorów i robót z opisem. Sekretarstwa gospodarskie.—Dyspozycja obiada.

Serwetki deserowe.

Rycina Nr 20—22 (do ryc. Nr 23—31) w Bl. Nr 39. (Wzór odwrotna strona tablicy fig. 112).

Z białego, cienkiego płótna, wycina się serwetki (w przecięciu 15 cent.); następnie haftuje się na nich płaskim ścięciem (malowanie igłą) wskazane wzory kolorowym jedwabiem. Prześlicznie wyglądają kwitnące gałązki jabłoni, ponsowe makówki i bukietki ciemnych fiołków, swobodnie rozrzucone na białym tle serwetek. Brzegi serwetek dzierga się białym, lub kolorowym jedwabiem w okrągłą ząbeczki.

Koronka z narożnikiem robotą „point-lace.“

Rycina Nr 34a w Bl. Nr 39.

Bardzo ładna do przybrania letnich sukienek, lub strojnych szlafroczków, koronka ta wykonywać się daje z białej, lub żółtawej tasiemeczki „point-lace“ i z zastosowanych do niej nici, lub kordonku. Wskazany tu deseń przerysowuje się na sztywne, woskowane płótno i podług tego naszywa się naprzód tasiemeczkę, a następnie zapelnia oczkami, zastępującymi tiul gruby. Dla ułatwienia roboty można tasiemeczkę naszywać odrazu na grubym tiulu do prania. Brzeg koronki zakończają pikoty.

Sukienka i kapelusz dla panienki od 16 — 17 lat.

Rycina Nr 36 w Bl. Nr 39.

Popielata wełna jest bardzo właściwą na skromną sukienkę dla młodej panienki; taką właśnie

sukienkę przedstawia podana rycina. Spódniczka u dołu ozdobiona falbaną i zakładeczkami. Bluzkę, wykonaną całą w zakładeczki, ozdabiają białe, atlasowe wyłogi, przykryte kremową gipiurą. Karczek z tyłu okrągły, na przodzie w ząb wycięty, przybrany atlasem i gipiurą. Rękawki u góry wyszyte w zakładeczki 18 cent. szerokości; przy rękę ozdobione gipiurą. Staniczek i spódniczkę łączy pasek z tego samego materiału.

Kapelusz okrągły z popielatego filcu, przybrany atlasową wstążką w szkocką kratę.

Bluzka strojna.

Rycina Nr 39 w Bl. Nr 39.

Bluzka podana odpowiednią jest na koncert, do teatru, lub t. p. zebrania, zrobiona z żółtej „taffetas“, w podłużne, drobne zakładeczki. Karczek i stojący kołnierzyk ślicznie naszyte białym i czarnym, jedwabnym sznureczkiem. Falbana, idąca wokoło karczka i przednia kontrafałda, również przybrane sznureczkiem. Rękawy poniżej ramion i przy rękę przyozdabia taki sam garnitur. Pasek żółty, aksamitny z złotą klamrą, uzupełnia prześliczną całość.

Wizytowa lub spacerowa suknia.

Rycina Nr 1.

Wielką elegancją i gustem odznacza się tualeta z jasno-popielatego sukna i aksamitu „violet“ haftowanego. Rękawy i spódniczka wzdłuż talii naszyta w odstępach równoległych wąską aksamitką, tak samo naszyta spódniczka naokoło i wzdłuż wstawionego, aksamitnego, haftowanego boku. Króciutkie figarko aksamitne, haftowane jest z przodu, w górze wycięte w karo i zapięte na srebrny guzik, z tyłu zaokrąglony; spód figarka, wycięcie karo, kołnierzyk i epoletki u rękawów z białego sukna, imitują od spodu wychodzący żakiecik. Kołnierzyk, staniczek u dołu i rękawy, zakończone popielatym futerkiem. Kapelusz filcowy ciemno-lila zdobia fioletowe aksamitki; tegoż koloru cieniowane strusie pióra upięte fantazyjnie z boku kapelusza, rondko objęte aksamitką.

Aksamitne palto z futrzanym kołnierzem.

Rycina Nr 2 (Krój pierwsza strona tablicy Nr 1. fig. 1—9).

Czarny, aksamitny płaszcz, na lekko podwatowanej, jedwabnej podszewce, zapina się na cztery duże, metalowe guziki. Kołnierz duży, futrzany, tworzy z przodu i z tyłu zęby, a na ramieniu krótkie epoletki, przy rękawach wyłogi futrzane, kołnierzyk wysoki wygięty.

Kapelusz, futrzana pelerynka i suknia wizytowa.

Rycina Nr 3—5.

Kapelusz ze srebrno-popielatego filcu, jest przybrany tegoż koloru jedwabną materyą, karbowaną u brzegu i ułożoną w pukle, które podtrzymuje stalowa klamra. Pośrodku pukli znajduje się duże, srebrno-popielate strusie pióro. Rondo kapelusza z boku podpięte jedwabną rozetą i stalową klamrą.

Krótką pelerynka z popielatego futerka „chinchilla“ z wysokim kołnierzem „à la Médicis“, obłożona około futerkiem ciemno-brązowym, z przodu i z tyłu w ząb zakończona, wygląda bardzo strojnie i bogato.

Wizytowa suknia ryc. Nr 5. Żółtawe sukno jest bardzo odpowiednie na piękną suknię. Wierzchnia suknia jest wycięta u dołu z przodu w zęby i na brzegach ogarniowana stebnowaniem 3 cent. szerok.; także samo

przybranie u góry imituje boferko. Zapina się na boku, a na przodzie wycięta jest w szpic i ozdobiona białą, jedwabną, podłożoną kamizelką i kokardą z tiulu na stojącym kołnierzyku. Jedwabne, haftowane wyłogi uzupełniają przybranie sukni.

„Princesse“ z sukna w kratę.

Rycina Nr 6.

Czarny, mohairowy sutasz, naszyty wężykowato, stanowi przybranie do bardzo gustownej i oryginalnej sukni ryciny 6, z „violette“ koloru sukna w czarną kratę. Wycięcie czworokątne na przodzie i takież stojący kołnierzyk zdobia aksamitne guziczki. Suknia zapina się z boku na dwa rzędy aksamitnych guzików, wyszyta na boku prosto, zaś u dołu i poniżej talii wężykowato mohairowym sutaszem.

Suknia z tiuniką.

Rycina Nr 7.

Wyżej podana suknia, wykonana z pięknego, ponsowego „drap de dames“, odznacza się nadzwyczajną elegancją i gustem. Spódniczka u dołu, tiunika, staniczek, oraz rękawy, w górze ozdobione zastębnowanymi, jedwabnymi pliskami. Rodzaj karczka na przodzie w „coeur“ wyciętego, tworzy na ramionach epoletki, naszyty pasmanterią jedwabną, czarną z białem. Kami-



Nr 1. Wizytowa lub spacerowa suknia.



Nr 2. Aksamitne palto z futrzanym kołnierzem. (Krój pierw. str. tabl. Nr 1, fig. 1—9).



Nr 3. Kapelusz dla młodej osoby.

zelkę z wysokim, stojącym kołnierzykiem z białej materii i kremowej gipiury zdobi też pasmantery. Rękawy przy rękę kielichowato zakończone, przybrane pasmanterią.

Kostium spacerowy.

Rycina Nr 9. (Krój odwrotna strona tablicy Nr IX, fig. 72-79).

Tualeta z zielonego „covert-coat“, składa się ze spódniczki, naszytej szeroka, czarna, stebnowana plisą z „taffetas“, imitującej tiunikę; króciutki staniczek wycięty w zęby, naszyty sutaszem. Wylogi i kołnierzyk wykładany, przybrany plisą. Kamizelkę u dołu zakończoną spiczasto ozdabia plisą; na końcach zębów znajdują się ozdobne, czworokątne guziki.

Modny żakiet i kapelusz.

Rycina Nr 11.

Piaskowy, sukienny, do figury żakiet, na atlasowej podszwewce tego samego koloru, na przodzie zakończony w dwa spiczaste zęby. Cały żakiet naszyty jest w nieforemne wzory mohairowym sutaszem, a tylko po bokach i na rękawach w formie okrągłych zębów przegląda materiał. Kołnierzyk wysoki „à la Médicis“ naszyty sutaszem. Przód żakietu, kołnierzyk i rękawy przy rękę, przybrane bobrowym futerkiem. Malowniczy kapelusz z plecionki „chenille“, przybrany udrapowanym tiulem i czarnymi bufkami. Rondo na przodzie i po bokach podpięte pompkami z piór i tiulowymi rozetkami.

Nr 11. Modny żakiet i kapelusz.



Nr 4. Płaszcz i kapelusz dla dziewczynki od 10-11 lat

(Krój odwr. str. tablicy Nr XIV, fig. 114-119).

Nr 5. Suknia spacerowa.

Garnitur na biurko damskie: teczka, pudełko na karty pocztowe, przycisk (bibuła).

Rycina Nr 13-15 (do ryc. Nr 22 w Bl. Nr 41). Wzór odwr. strona tablicy fig. 127-129.

Teczka, bardzo elegancka 34 cent. długa, 25 cent. szeroka. Wierzch robi się z ponsowego, jedwabnego rypsu, na którym haftuje się płaskim i cerowanym ścięciem podane wzory białym, grubym jedwabiem. Połowę wzoru haftu przedstawia fig. 127. Po ukończeniu haftu oprawia się w karton, a wewnątrz wykleja się morowym papierem i wykończa przegródki na papier listowy, bilety etc.

Skromne a śliczne pudełko na karty przedstawia ryc. 14. Części zewnętrzne, haftowane na ponsowym rypsie w ten sam sposób, jak teczka, następnie oprawne w karton 19 cent. długości, 7 i pół cent. szer. przy brzegach, w środku zaś szerokość 9 cent. Z tego samego rypsu zrobiona podstawa i pochewka na pióro i ołówek.

Rycina 15 przedstawia odpowiedni do garnitur przycisk (bibuła) z mahoniową rączką. Wierzch

Nr 6. „Princessa“ tryału w kratę.

Nr 7. Suknia z tiun drap de dames.“ (do sła).



Nr 7a. Przód ryc. Nr 7.
Nr 8a. Plecy ryc. Nr 8.

Nr 9. Ubranie spacerowe. (Krój odwr. str. tablicy Nr IX, fig. 72-79)

Nr 8. Peleryna z futrzanym kołnierzem.

(do szkicu 8a). Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 10-18.

przycisku pokrywa haft podobny, jak widzieliśmy przy rycinach Nr 13 i 14.

Garnitur do przykrycia okna (krzyżową robotą).

Rycina Nr 16, 17 i 20.

Z ciemno-brązowego, kanwowego materiału „Jawa“ kroi się boczne pasy garnituru 80 ctm. dług., 25 ctm. szer., a następnie haftuje się podane wzory płaskim ścięciem, do cieni dobranym jedwabiem. Na tło środkowe używa się kanwoy materiał „Jawa“ ciemno-żółty, 80 ctm. szerok., a 60 ctm. dług.; na tej części haftuje się wedle ryc. 20, grupy białych i kremowych goździków, z zielonemi listeczkami i ciemniejszymi jeszcze lodyżkami. Szlak wykonywa się podług ryc. 17. Grube, jedwabne frendzle zakończają ten piękny i ozdobny garnitur u dołu. Kolory jedwabiu: biały, kremowy, zielony, jasno-oliwkowy, ciemno-oliwkowy i czarny.

Jeśli chcemy, aby powyższy garnitur nie był tak kosztowny, można zamiast jedwabiu użyć do haftu i na frendzle włóczki, lub bawełny.

Nr 10. Suknia, peleryna i kapelusz dla dziewczynki od 13-14 lat. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 26-40).

Koronka szydełkową robotą.

Rycina Nr 19.

Prześliczną tę koronkę do bielizny, ozdobnych fartuszków, a nawet letnich sukien, wykonywa się miniardżą i kordonkową bawełną Nr 60.

Przepisy gospodarskie.

JAJECZNICA Z POMIDORAMI.

Sześć łyżek zrobionego sosu pomidorowego zagotować na ogniu, wlać w to ośm jaj dobrze ubitych, dodać trochę soli do smaku, mieszać póki nie zgęstnieje i natychmiast wydać na stół. Proporcya na 3 osoby.

PRZECHOWANE GRZYBY W ZIMIE NA ŚWIEŻO.

Obtarte grzybki położyć na desce, każdy cokolwiek posoliwszy, wsunąć w ciepły piec, a jak się rozprząją i sok puszcza, składać je do garnka, mocno przesypując solą, przycisnąć denkiem i trzymać tak, aby nie zmarzły. Przed użyciem trzeba je wypłukać w wodzie i namoczyć w mleku, następnie znów wypłukać w wodzie, pokrajać i jak zwykle, dusić z cebulą w masle.



Nr 12. Żakiet z haftowanym wykładanym kołnierzykiem. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 19-25).

Obiad na Niedzielę.

1. Czarnina z prosięcia.
2. Paszteciki w kruchem cieście.
3. Potrawa z prosięcia na szaro.
4. Groszek zielony z grzankami.
5. Kaczki z kompotem z jabłek.
6. Ciastka ze śliwkami.

U W A G A.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w tym i w przyszłym numerze „Bluszczu” podać się mające.



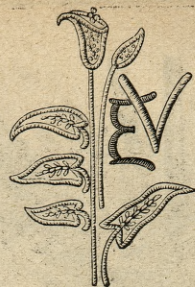
Nr 16. (Garnitur) przykrycie na okno (krzyżową robotą) do ryc. Nr 17 i 20.



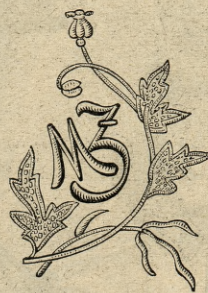
Nr 14.



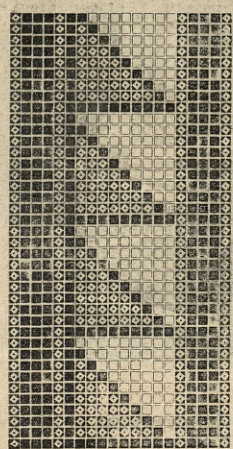
Nr 15.



Nr 18. Winietka i monogram.



Nr 21. Winietka i monogram.

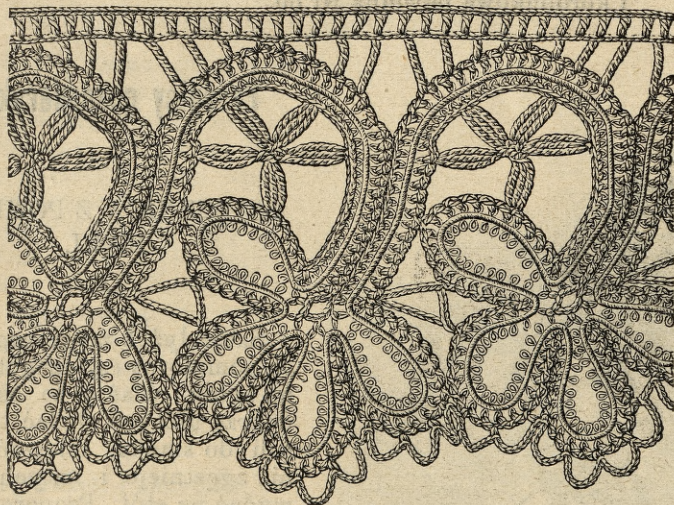


Nr 17. Wzór haftu do ryc. Nr 16.



Nr 13. — 15. Garnitur na damskie biuręczko: teczka, pudełko na karty pocztowe, przycisk (bibuwer) do ryciny Nr 22 w Bl. Nr 41. (Wzór odwrotna strona tablicy fig. 127—129).

Objaśnienie znaków:
■ czarny, □ ciemno-oliw., □ tło.



Nr 19. Koronka do bielizny szydełkową robotą.



Nr 20. Wzór haftu do ryc. Nr 16. ■ czarny, □ ciem-oliw., □ jas-oliw., □ krem., □ tło.

Główny Skład Zakładów Żyrardowskich

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr 55,

poleca jak zwykle na sezon jesienny i zimowy:

Flanele, Barchany, Materyały puchowe, Kołdry wałowane, flanelowe i pluszowe. Wroby pończosznice, Płótna, Ręczniki, Chustki i Stołową bieliznę letniego bielenia.

Materyały meblowe, Dywany, Portyery, Firanki.
Gotowe wyprawy od 100 rubli.

Gotowa bielizna
damska i męzka.

Gotowa bielizna
damska i męzka.